

ipix

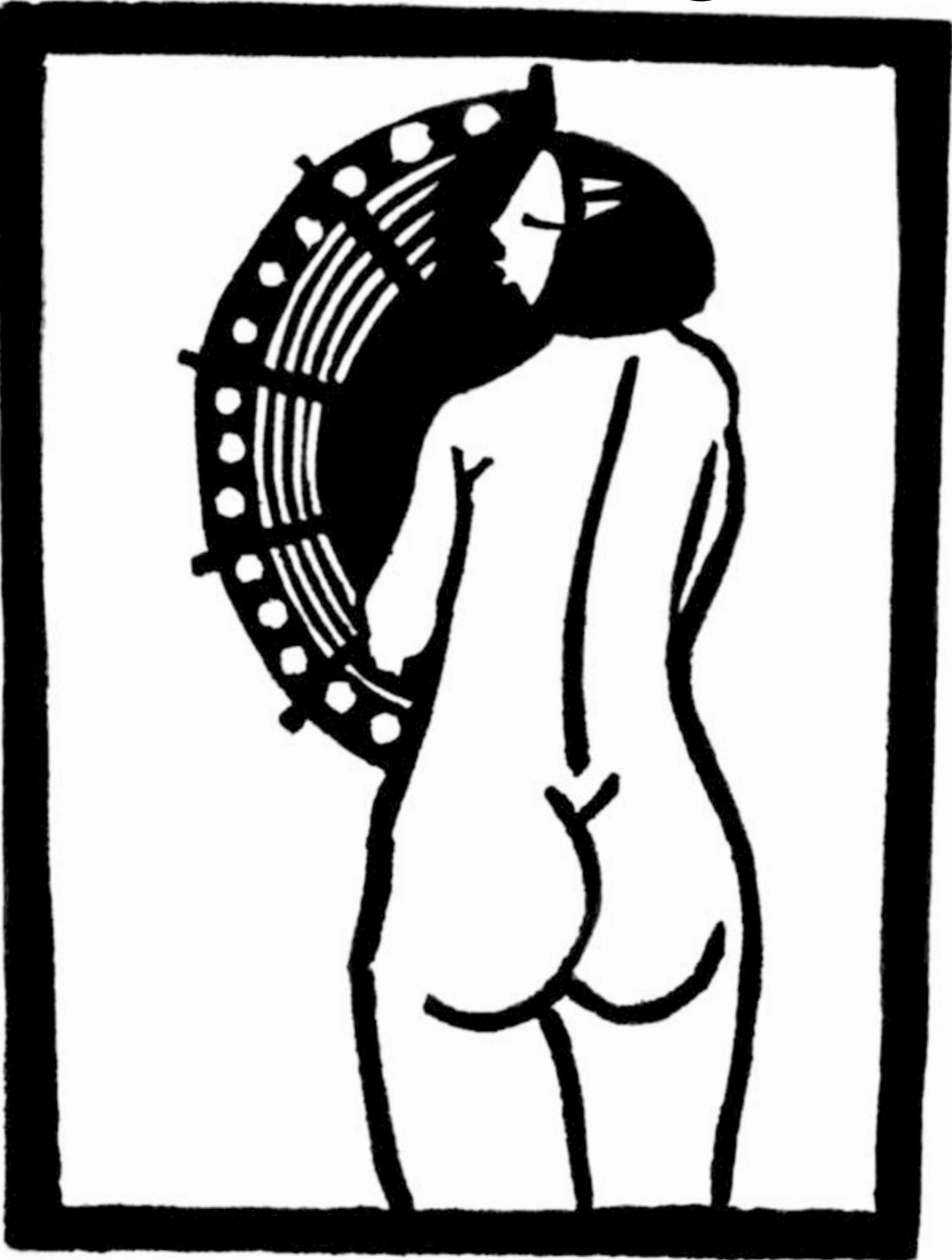
# mrówkojad\*

Kraków, lipiec-sierpień 2007, Numer 10-11 (Rok 2)

NUMER PRAWDOPODOBNIIE OSTATNI

Klub LOKATOR Magazyn

\*Nina Hynes&Fabien, Franci Slak, Rob Bochnik, Petr Marek, Petr Zelenka, Denis Mc Evoy, Michał Korta...



grafika: P10, 2006. It`s a nice fany (UK version), linoryt 5x7

Przed czytaniem, rozciać. Przed rozcięciem, usiąść!





## We Włodawie przybyło sześc

Jedziemy do Włodawy. Ale co zacz ta Włodawa, na co, po co, gdzie, kiedy, czy ktoś wie? Hm. Jan Gondowicz, jak na erudyte przystało, jako jedyny „wie”, i tajemniczym głosem powiada: –We Włodawie przybyło sześc–. Kto pamięta nadawane po hymnie o północy komunikaty o stanie wód w polskim radiu? Sama w sobie fraza, przynajmniej – brzmi. –We Włodawie przybyło sześc” tudzież „We Włodawie ubyło sześc”, tudzież – krakowskim targiem – „We Włodawie sześc”. Trzysłowny poemat o tajemnicy i oczekiwaniu. No a nie?

A więc jedziemy do Włodawy, bo nikt nie wie, gdzie to i co to. Gdzie to i co to ta patafizyka, pytają też niektórzy, bój się boga – nawet niektórzy z uczestników! Niezrażeni, jedziemy na seminarium patafizyczne do Włodawy. Na patawyzjazd stawili się: Jacek, PIO, Guta, Igor, Keymo, Magda, Karol, Daria, Madzia i Jacek. No i rzecz jasna *spiritus movens*, imć Jan Gondowicz.

A więc jedziemy do Włodawy. Sobota, automobil, widoki – no, ładnie. Docieramy. Miasteczko jak perelka w górkach – pagórkach, bardzo się staram tego nie robić, ale cóż, naprawdę czasem zmuszony jestem do szeptanych okrzyków w stylu: „pięknie, no po prostu pięknie”. I turystów żadnych nie widać, i pustki uroczce w tym uroczym miasteczku, i tak chodzimy sobie i delektujemy się uroczością, i nawet uśmiechamy się do siebie.

A potem smażony syr z hranolkami i Złoty Bażant – żołądek oddycha, wszystko oddycha, ech, ech... Złoty Bażant działa jak kawa, jak melisa, jak węgiel, jak nic działa, jak nic!

I oto herbaciarnia, z setką herbat do wyboru (przesadzam – z co najmniej dwusetką). Wybieram Lubownika Bodkowanego. Podobno zmniejsza potencję i neurozę. No, liczę na to! Piję i czekam. Gdy tak czekam, aż się zmniejszy, Jan Gondowicz zaczyna patafizyczny wykład. Temat wielki jak świat: głupota. Nie miejsce tu sprawę referować, jedno tylko wiedzieć: kto tam był i herbatę pił, ten ci już przeciw głupocie jak Jerycho ufortyfikowany i tylko napotkanie wybitnej jakiejś trąby zdeprawować go może.

Seminarium, jak na seminarium przystało, ciąg dalszy w knajpie miało, integracyjną część swą do porannych godzin kontynuowało. A rano, czyli w popołudnie (winna temu integracja winna) poszła cała grupa patafizyczna odkupić winy na lokalną kalwarię. Krzyż swój każdy na swą Golgotę niósł, głową jednocześnie w stronę każdą kręcił, bo znów, bo znów, bo znów szeptane krzyki zewsząd: „jak pięknie, jak pięk-

nie”. No bo pięknie było, to fakt (jeśli ktoś chce, niech zobaczy na stronie Lokatora). A na szczycie kalwarii kościółek, a tak ładnie wszystko wokół zaniedbane, psujące się, takie ładne ruiny, choćby niekatolicki jakiś kraj, choćby raj dosłownie! I jak to się mówi: „ech, jak trudno wracać”. Zostałoby się we Włodawie, ech, zostało. We Włodawie ubyło sześc, we Włodawie przybyło sześc.

Zahacza jeszcze patawyzjazd o górski maceznik Podziewskiej, gdzie PIO beszcześci na oczach wszystkich patafizyków ogródek domowy i wykrada z niego paprocie. Teraz tylko trzeba – zasadziły się owe paprocie w ogródku Lokatora – pilnie je obserwować w noc 21 czerwca, wszak od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babusiom, które o tym szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drebka jasno palą i wesoło potrzaskują, że nocą św. Jana, która najkrótsza jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatuszek znajdzie, urwie i schowa, to wielkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Już wiem, rzecz jasna, co się dzieje we Włodawie. Się dowiedziałem. Na przykład Festiwal Trzech Kultur się dzieje. Ale odplaciliśmy Włodawie za naszą niewiedzę o niej – skoro nic o niej nie wiedzieliśmy, to teraz ona nic o nas nie wie, teraz ona nie przypuszcza nawet, że Złoty Bażant na Zamku, że krzyże nasze na Kalwarii, że ciała nasze w krętych i pagórkowatych uliczkach uroczność miasteczka kontemplowały. I nawet nie wie Włodawa, że kolejny ważki rozdział historii polskiej patafizyki rozegrał się właśnie tam.

We Włodawie sześc, we Włodawie sześc, cześc, cześc!

Jacek Błach

Trzecie Seminarium PATAFIZYCZNE odbyło się we Włodawie 26 maja 2007 roku.

## princiPIO – miniatury

Galeria CAMELOT, p. I. 21.06 - 18.07.2007

„princiPIO” to zestaw grafik nad którymi pracowałem w ciągu kilku ostatnich lat. Są to głównie notatki z podróży, „zdjęcia” z różnych miejsc, cytaty zasłyszane na ulicy. Pierwsza seria prac „24h PIO” powstała w czasie całonocnej podróży w wagonie restauracyjnym WARS, na trasie Kraków – Szczecin – Kraków i dała początek całemu cyklowi miniatur, pokazanych na tej wystawie. W trakcie kolejnych podróży duży wpływ na to, co – i w jaki sposób – pojawiało się na kartkach notatnika miały nie tyle miejsca, które odwiedzałem, co słowa takich twórców jak Roland Topor, Henri Michaux czy Donald Barthelme, których teksty powodowały we mnie specyficzny rodzaj percepcji umożliwiający mi poruszanie się nieco na marginesie rzeczywistości. Ta seria miniatur nigdy nie zostanie ukończona...

PIO, czerwiec 2007

## Pierwszy niezależny Festiwal Filmów Jednokomórkowych LOKATOR 15-17 czerwca 2007

Komisja Selekcyjna oraz Jury Festiwalu z przykrością informują, że pierwsza edycja Festiwalu Filmów Jednokomórkowych została odwołana, z powodu zbyt małej ilości zgłoszeń, co uniemożliwiło przeprowadzenie selekcji i oceny prac. Wszystkim autorom którzy nadesłali w terminie filmy dziękujemy i zapraszamy do udziału w kolejnej edycji festiwalu. Więcej informacji można uzyskać pisząc: [lokator@pointblue.com.pl](mailto:lokator@pointblue.com.pl)

KLUB LOKATOR



LOKATOR Bestlooker Publishing  
Kraków, ul. Krakowska 27  
POLSKA

REDAKCJA:

Iga Noszczyk, PIOTr Kalifornski,  
Igor Kędzierski, Kuba Mikurda,  
Jacek Olczyk, Stanisław Kot

WSPÓŁPRACA I TŁUMACZENIA:

Agnieszka Taborska, Paweł Scibisz,  
Iwona Lyko, Jacek Błach, PIO,  
Maciek Gil, Dennis Mc Evoy,  
Bojana Todorovic, Jolanta Kot,

KOREKTA:

Jacek Olczyk, Zuza Skoczek,

DZIAŁ FOTO:

PIOTr Kalifornski, Kuba Pierzchała,  
Kamila Sosnowska

ILUSTRACJE:

PIO, Tlusta Żabka

KOMISJA REWIZYJNA:

Magda Podziewska

PROMOCJA:

klub LOKATOR  
Kraków, ul. Krakowska 27  
[www.lokator.pointblue.com.pl](http://www.lokator.pointblue.com.pl)  
[lokator@pointblue.com.pl](mailto:lokator@pointblue.com.pl)

KONTAKT Z REDAKCJĄ:  
[mrwkojad@pointblue.com.pl](mailto:mrwkojad@pointblue.com.pl)

MIEJSCE GDZIE GRASUJE MRÓWKOJAD:  
KRAKÓW: Klub Lokator, ul. Krakowska 27, Nowy Teatr, ul. Gazowa 21, Korporacja Halart, pl. Szczęśliwski 3A, Miasso-It Books, ul. Feliganek, NOWY SĄCZ: Kawiarnia Prowin-  
cjalna, ul. Wąsowiczów, STARY SĄCZ: Galeria pod Piłką,  
Stary Rynek 5, RZESZÓW: Klub Drukarnia, ul. Bożnicza 6,  
WARSZAWA: Księgarnia Tarabuk, ul. Browarna 6, Cafe  
Chłodna, ul. Chłodna 26; PRAGA: Instytut Płbski, Male nám.  
1, OPAWA: Instytut wódr fotograficzne, Bezručovo nám. 13, NO-  
RYMBERG: Dom Krakowski, Hintere Insel Schütt 34, ZA-  
GRZEB: KK Books, Martreva 14d, ulice Lublany :)

STAŁA WSPÓŁPRACA:

**kinoskop.pl**  
**RADIO.ARI.pl**



# Dokument wraca do kina

## O wolności i dokumentach z profesorem Franci Slakiem

rozmawia Bojana Todorowic i Piotr Kaliński

**Bojana Todorowic:** Franci Slak jest profesorem Akademii Teatralnej, Radiowej, Filmowej i Telewizyjnej na Uniwersytecie w Lublanie. Na dzisiejszym spotkaniu przedstawi działalność Akademii, zaprezentuje swój film jak i filmy studentów.

Franci Slak: Zapomniała Pani dodać, że jestem absolwentem szkoły filmowej w Łodzi i dlatego możemy się porozumieć w tym pięknym języku, który uwielbiam i dużo w nim czytam, chociaż ukończyłem szkołę w 1978 roku, a zatem dość dawno... Za czasów, wiadomo jakich – co mi się w pewnym sensie podobało, bo ten komunizm jugosłowiański był taki trochę inny – pomyślałem sobie, że jak już mamy komunizm to na całego i pojechałem do Polski. I sprawdziło się. To było bardzo ciekawe doświadczenie życiowe i bardzo dobra szkoła, nie da się zapomnieć tych czasów. Jak już wróciłem do Lublany, choć opuściłem tamtejszą Akademię po trzecim semestrze, bo wydawała mi się ta szkoła bardziej teatralna niż filmowa, a ja chciałem być filmowcem. Później zostałem asystentem na wydziale montażu i zrobiłem kilka filmów fabularnych. Obecnie od ponad 20 lat pracuję ze studentami. Jest to mała szkoła, nazywamy to takim „butikiem filmowym”, po 4 studentów na roku reżyserii filmowej i, mimo naszych starań, nie ma innych kierunków – operatorskiego czy montażu. Ale jak wiadomo – Słowenia jest mała, Lublana jeszcze mniejsza, a szkoła malutka. Ale ma to zaletę, że jesteśmy blisko ze studentami – to takie indywidualne studium. Prowadzimy bardzo dużo ćwiczeń telewizyjnych, przede wszystkim praktykę reklamy. Nasi studenci są wszechstronnie przygotowani do podjęcia różnych działań zawodowych: filmowych i telewizyjnych. Przedstawimy dziś zestaw filmów, na początek ze Słowenii. Pokażę jak dokumentowałem dzień w którym Słowenia proklamowała niepodległość. Później była tak zwana dziesięciodniowa wojna o niepodległość, której już nie mogłem kręcić, bo nie miałem taśmy ani kamery. Jest to relacja z ostatniego dnia Lublany w Jugosławii z czego później zmontowałem filmowy przegląd historii Słowenii od 1991 do symbolicznego roku zerowego.

**BT: Co tak naprawdę spowodowało, że zaczął pan studiować w Polsce?**

Franci Slak: Fascynacja Gombrowiczem na pewno, znajomość filmu polskiego – Wajda, Skolimowski, Borowczyk – to pokazywano w Słowenii. Chodziło się na każdy nowy film Wajdy, byliśmy na bieżąco. Dziś polski film w kinach słoweńskich nie istnieje, w telewizji czasami tak, np. zestaw filmów krótkich pod nazwą „Solidarność”, co roku dwa, trzy lub cztery polskie filmy. Byłem zafascynowany filmem polskim. Później w Polsce poznałem nowych twórców, reżyserów, pisarzy, poetów. Ta fascynacja trwa nadal, moim ulubionym pisarzem pozostaje Marek Hłasko. Jak na razie nikt go jeszcze nie pobił.

**PK: Jak obecnie wygląda współpraca z Polakami?**

Franci Slak: Przyjeżdżam tu w różnych sprawach i prywatnie, i zawodowo. Odwiedzić kolegów ze szkoły, czasami na jakiś festiwal – np. rok temu do Torunia. Są różne okazje i chętnie przyjeżdżam. O ile jest czas.

**PK: Czy istnieje współpraca pomiędzy Szkołami Filmowymi w Polsce i Słowenii?**

Franci Slak: Nie istnieje. Festiwal tak, ale wymiany studenckie nie wychodzą.

**PK: Na ile polskie animacje, fabuły i niezależne dokumenty są znane w Słowenii wśród młodych ludzi?**

Franci Slak: Chyba w ogóle nie są znane. Teatr podróżuje, bywają spotkania z pisarzami. Ale kino i muzyka nie. A szkoda, bo widziałem w tamtym roku wspianą polskie filmy niezależne, zrobiły na mnie większe wrażenie niż filmy z głównego nurtu. O wiele bardziej podobały mi się filmy niezależne.

**PK: Jaki jest program nauczania w Lublanskiej Szkole Filmowej? Bardziej kładzie się nacisk na dokument czy fabule?**

Franci Slak: Pierwsze dwa lata poświęcone są rozwijaniu wrażliwości wobec rzeczywistości, czyli ćwiczeniom dokumentalnym, mimo że pracujemy na kierunku filmów fabularnych, który cieszy się większą popularnością wśród studentów. Zatem pierwsze dwa lata kończą się zrobieniem przez nich dokumentu. Później, kiedy mają już za sobą pracę z ekipą filmową, kiedy znają cały system, wówczas robią dwa filmy fabularne ma trzecim i czwartym roku.

**PK: Czy studenci dostają materiały i środki na zrobienie filmu w trakcie trwania nauki?**

Franci Slak: Tak, dostają budżet, który nie jest duży, i każdy ma taką samą określoną kwotę. I w ramach tych środków muszą się zmieścić wydatki.

**PK: Jak wygląda życie absolwenta? Bo z tego co wiem kręcenie filmów w Polsce nie jest proste, nie ma pieniędzy na produkcję, a tym bardziej na promocję filmów studenckich. Jak to wygląda w Słowenii?**

Franci Slak: Promocję filmów studenckich?

**PK: Mówię o filmach niezależnych, etiudach studenckich, animacji. Taka promocja w Polsce nie istnieje i tak naprawdę pokazywanie tych filmów po za samą uczelnia jest praktycznie niemożliwe.**

Franci Slak: Jest spore festiwali filmów krótkich i studenckich, kina niezależnego. Takich festiwali jest dużo na świecie. Dystrybucja takich filmów ogranicza się do takich imprez. Nasze filmy bardzo sporo podróżują. Bardzo dużo pracy wkładamy w robienie napisów, ich kolportaż itp. i to jest część naszej pracy. Studenci dzięki temu konfrontują swoje filmy z innymi. Między innymi na festiwalach w Monachium, Łodzi czy Krakowie na Etiudzie&Animie.

**PK: Jaka część studentów znajduje potem prace w swoim zawodzie?**

Franci Slak: Różnie bywa. Część filmów robią w telewizji państwowej, co daje im doświadczenie. Część z nich później pracuje w telewizji, która zawsze potrzebuje młodej krwi. Dostają pracę, może nie na długo, bo telewizja jest bardzo wymagająca, płaci mało itp., ale ci lepsi w ciągu dwóch-trzech lat dostają możliwość zrobienia pierwszego filmu. Istnieją specjalne fundusze na takie projekty, także ze środków unijnych. Sytuacja się zmienia z roku na rok. Także pod względem zaniku publiczności kinowej, w czasach kina domowego i globalnej amerykańskiej konkurencji, kinematografie narodowe mają problem. Często zastanawiam się z innymi reżyserami, jak zrobić słoweński film za powiedzmy milion euro i znaleźć dla niego publiczność, zdobyć odzew. Oczywiście telewizja te filmy pokazuje, jest rynek narodowy, ale na naszym rynku liczącym 2 miliony widzów to jest katastrofa. W Polsce jest pod

tym względem jest dużo lepiej – macie dużą widownię, choć też ciężko zaprowadzić ją do kina. Kiedyś były lepsze czasy, np. mój kolega ze studiów, Machulski, robił rzeczywiście kasowe filmy. Ale to już chyba jest przeszłość.

**PK: Oglądaliśmy dokument przedstawiający historię państwa słoweńskiego. Jak profesor ocenia te zmiany po tym, jak Słowenia uzyskała niepodległość, zaś sama Akademia musi walczyć o rynek z demonami Zachodu?**

Franci Slak: No, wszyscy się zastanawiamy co teraz zmieniło się na lepsze, a co na gorsze. Technologia poszła do przodu, produkcje filmowe są o wiele tańsze. Można zrobić film bez dużego budżetu, choć nie jest to łatwe i wymaga dużo sił i energii młodych twórców. Internet stał się środkiem dystrybucji. Współczesność jest ok, ale to prawda, że kiedyś widownia była liczniejsza, a filmy krajowe były czymś, co trzeba było zobaczyć. Trudno, podobnie dzieje się na całym świecie i dlatego istnieją programy wspierania kina narodowego.

**PK: Nie lepiej było kręcić filmy pod tzw. presją, kiedy nie można było powiedzieć wszystkiego i trzeba było kombinować jak to powiedzieć?**

Franci Slak: Tak, wtedy było ciekawiej. Może nawet niedługo znów tak będzie. W Słowenii też mamy rząd prawicowy i w tej chwili zastanawiam się czy znów nie trzeba będzie zacząć mówić szyframi. Ale ja się z tego cieszę.

**BT: Jak ma się film dokumentalny w Słowenii? Czy są odbiorcy tego rodzaju filmów, również filmów studenckich?**

Franci Slak: Odbywa się to głównie poprzez telewizję, pełni ona funkcję obserwacji dokumentalnej. Studenci robią swoje filmy w ramach małych projektów telewizyjnych i są one później regularnie pokazywane. W telewizji państwowej dokumenty zajmują ważną pozycję w programie, bo słoweńska telewizja ma dobry program dokumentalny i taką właśnie ma renomę. Oglądając TVP Kultura widzę, że także tutaj dokument się rozwija, nadal jest ciekawy i oglądając wiele studenckich filmów na festiwalach dostrzegam, że w wielu krajach np. w Izraelu, we Francji dokument także jest bardzo ciekawy i to jest dobre. Kino jest pewnym medium do obserwacji świata.

**BT: Czy jest festiwal kina dokumentalnego w Słowenii?**

Franci Slak: Jest festiwal Docma, jest też Międzynarodowy Festiwal Kina Dokumentalnego i jest także pokaz filmów dokumentalnych – swego rodzaju przegląd filmów dokumentalnych. Rynek dla dokumentu jest dość ciężko zdobyć, przeważnie jest to rynek międzynarodowy, ale wymianę można by wzmocnić, zwłaszcza między mediami europejskimi. Osobiście często oglądam dokumenty także ze względu na chęć poznawania innych kultur.

**PK: Czy w takim razie uważa pan, że telewizja jest lepszym medium niż kino?**

Franci Slak: Jest dostępnym medium, bo wprowadzić dokument do kina to już jest wysoka szkoła. Dokument wraca do kin, i nie tylko muzyczny, jak kiedyś „Woodstock”. Pewne głośne filmy dokumentalne dostają dystrybucję, ale nie jest to normalna praktyka, to są wyjątki, choć pewną popularność dokument ma – jak np. Michael Moore. Dokument wraca do kina, ale nie jest to nawet procent, a raczej promil tego rodzaju filmów. W telewizji, jako codziennym medium, jest łatwiej. Mnie bardzo się podobała polska szkoła filmu dokumentalnego: Brzozowski, Karabas, Bossak. To znikło, np. pokazywanie krótkich dokumentów przed filmami fabularnymi, nawet nie tylko dokumentów, ale też krótkich fabul.

Klub LOKATOR, Kraków 24.05.2007

Foto: Michał Korta, Gruzja 2006



# Samotna Wyprawa Rowerowa

**Tam gdzie pierwszy toast wznosi się za Boga i opatrzność, drugi za towarzyszy przy stole, a trzeci za wiecznie tam wielbionego... Stalina.**

**Z Michałem Kortą\* o wyprawie do Gruzji i Azerbejdżanu rozmawia Stanisław Kot**

*Plan jest, ale wcale nie muszę go wykonać. Będę próbował lecz nie za wszelką cenę. Chęć zobaczyć Kaukaz, poznać ludzi, zrobić dobre zdjęcia i... nabroć trochę dystansu do własnego życia. Niedawno skończyłem 30 lat.*

**Stanisław Kot: Skąd pomysł pojechania do Azerbejdżanu i Armenii?**

**Michał Korta:** Pomysł właściwie był dużo bardziej poważny, chciałem jechać do Mongolii, natomiast z przyczyn czasowo-finansowych zdecydowałem się na coś bliższego i tak błądząc palcem po mapie padło na Gruzję i Azerbejdżan, myślałem że przejadę na rowerze od Morza Czarnego do Morza Kaspijskiego, a po drodze uda mi się może, jeszcze zadbać o Armenię.

*Dla mnie to była przede wszystkim podróż fotograficzna. Taki był cel.*

**S. K.: Nie znalazłeś nikogo kto chciałby z tobą wyruszyć w taką podróż?**

**M. K.:** Pierwotnie były takie plany i parę osób było chętnych, ale w ostateczności wykruszyli się, bo było to jednak dla mnie wyzwanie. W gruncie rzeczy bardzo się cieszę że pojechałem sam.

*Lwów jest piękny. Piękny chociaż niestety widać straszny biedę.*

**S.K.: Jak wyglądała od początku twoja podróż. Wsiadłeś do pociągu w Krakowie?**

**M. K.:** Nie było to takie proste, okazało się w Krakowie że nie ma już biletów do Lwowa (byłem ok. półgodziny przed odjazdem), ale na szczęście udało mi się załatwić to z konduktorem. Wjeżdżając. We Lwowie spędziłem jeden dzień na zwiedzaniu miasta a wieczorem nocny pociąg do Odessy. Całą noc przez Ukrainę. Na miejscu, w Odessie, miał rajd przez miasto na rowerze, miasto, którego nie znam, podobno jest ładne, ale nie miałem czasu nawet go zwiedzić.

*Właśnie przejechałem całą Odessę. Zaraz wsiadam na piron. Nie będę miał chyba zasięgu do 15. Pozdrawiam, jest piękna pogoda i pełne kosze owoców na każdym rogu.*

# Agnieszka Taborska OKRUSZKI

## Własność

Podczas Międzynarodowych Targów Książki w Pałacu Kultury zauważyłam w toalecie szczotkę klozetową, grubym czarnym flamastrem podpisaną WC. Była niczym przedmiot surrealistyczny: jej funkcja zdała się komuś na tyle nieoczywista, że odczuł potrzebę określenia, w jakim powinna się znaleźć wewnątrz. Prawie miałam ochotę ją ukraść. Wyzwolić od przypisania do miejsca i – wzorem króla Ubu – triumfalnie wnieść do jadalni!

## Mieszkanie

Retoryka agentów mieszkaniowych przypomina retorykę polityków: dużo słów, odnoszących się do sytuacji w sposób jak najbardziej ogólnikowy. Szczerłość jednych i drugich bez przerwy jest ograniczana mnóstwem niezależnych od nich czynników. I jedni, i drudzy, dążą do konkretnego celu. Agenci mieszkaniowi przypomnieli mi się w trakcie oglądania relacji z pierwszej tury wyborów prezydenckich we Francji. Kandydaci mówili mniej więcej to samo, odmieniając na tysiące sposobów magiczne słowo „Zmiana”. Szukając kilka lat temu mieszkania, odebraliśmy lekcję polityki. Dwa warunki – że chcemy zamieszkać na ostatnim piętrze i nie przy placu zabaw – agenci interpretowali niczym prawdziwi mężowie stanu, bez zmruczenia oka proponując nam mieszkania na parterze i z oknami wychodzącymi na przedszkola. Bo co prawda nie było to dokładnie to, co WYDAWAŁO nam się, że chcemy, ale.... Dyplomatyczny rekord pobiła agentka, usiłująca sprzedać zagrybione poddasze w strasznej kamienicy na robotniczym Żoliborzu. Gdy przyjechalśmy je obejrzeć, poczuliśmy się jak na planie Lokatora Polańskiego. Zewsząd śledziły nas nieprzychylnie oczy: grubych kobiet w kiedyś białych, koronkowych stanikach, opalających się na zaśmieconym podwórku przy włączu do kanału oraz brzuchatych mężczyzn w dziurawych, przepoconych podkoszulkach, opartych o barierki balkonów z puszką piwa w rękę. Potworne było wszystko, ale najbardziej – śmierdząca stęchlizną klatka. „Na klatce jest straszna wilgoć, ściany są pokryte liszajami” – powiedziałam, żeby powiedzieć cokolwiek. Agentka musiała często oglądać konferencje prasowe polityków. „To tylko wygląd” – wyjaśniła.



mrówkojad - numer 10 - 11, lipiec - sierpień 2007

**S.K.: Dobrze pociąg do Odessy. Potem prom z Odessy do?**

M. K.: Poti. Wylądowałem w Gruzji. Tam na promie jeszcze czekałem 8 godzin na celników zanim przyjdą i sprawdzą paszporty. Po tych ośmiu godzinach, w nocy wypuścili nas na ląd.

**S.K.: Generalnie trasa zakładała przejechanie z Poti, przez Tbilisi w Gruzji, do Baku w Azebejdanie. Ile to razem kilometrów?**

M. K.: Według moich obliczeń przejechałem około 1000 kilometrów, to nie jest dużo jak na wyprawę rowerową ale nie chodziło o to aby przejechać jak najwięcej tylko „jak najdokładniej”.

**S.K.: Jak wybierałeś trasę. Jechałeś głównymi drogami czy wybierałeś boczne?**

M. K.: Różnie, generalnie jechałem główną drogą przede wszystkim ze względu na czas. Miałem zarezerwowany bilet lotniczy i nie chciałem się spóźnić do Baku. Na początku pogoda nie była najlepsza, miałem opóźnienie przez pierwsze dni, więc potem nadrabiałem jadąc przede wszystkim główną drogą. Zdażało mi się zjeżdżać na drogi boczne, najczęściej jak szukałem miejsca na nocleg.

*Wczoraj schowałem się przy trasie w jakiejś przydrożnej restauracji. Zjadłem mięsny obiad, napiłem się kawy. Chciałem się zbierać, bo przestało padać ale właściciele zaprosili mnie na szklaneczkę wina domowej roboty. Było miło, opowiadali o wojnie. Skończył się na czterech szklaneczkach i zagryzce. Pożegnałem się i pojechałem.*

**S.K.: Jak się jedzie przez Gruzję, czułeś się bezpiecznie?**

M. K.: To jest bardzo dziwne, bo oczywiście jakiś lęk istnieje, zwłaszcza że tubylcy ciągle powtarzali, że bym uważał gdzie rozbijam namiot, gdzie jadę. W ogóle nie mogli tego zrozumieć że ktoś sam, z zewnątrz, się tam wybiera. Natomiast po paru dniach oswoiłem się z tym lękiem i nie było to już nic nadzwyczajnego. Przede wszystkim dlatego, że ludzie są tam fantastyczni, myślę że najprzyjemniejszą część wyprawy wiąże się z napotkanymi ludźmi, którzy z ulicy zapraszają na poczęstunek, na wino, na przeróżne pyszności. Stanowią kwintesencję kaukazu. Mają wrodzoną gościnność i umiłowanie do zabawy. Mimo iż jest to bardzo ubogi kraj, ludzie zachowują tam pogodę ducha, którą na przykład tak trudno znaleźć u nas na codzień

*Wczoraj 15.09 wieczorem dotarłem do Gruzji. Ciemno i pada. Przejechałem w deszczu około 20 km. Spałem na małej stacji kolejowej. Znowu pada.*

**S.K.: A jak było z noclegami. Czytałem na twoim blogu że spałeś też na dworcu?**

M. K.: Tak, zdarzyło mi się to w pierwszą noc, w pobliżu Poti. Właściwie był to największy kryzys tego

wyjazdu. Prom się spóźnił, ja przemokłem. Były fatalne warunki na drodze, nic nie widziałem, więc zdecydowałem się przeczekać na dworcu.

*Krajobraz powalający.*

**S.K.: Jak bardzo Gruzja jest różna od tego co mamy za oknem w Polsce?**

M. K.: Nie jest tak bardzo inna. To znaczy pamiętam klimaty Polskie sprzed 15, 20 lat i bardzo one przypominają obraz dzisiejszej Gruzji. Widać ogromne skrajności. Po miastach jeżdżą drogie limuzyny a na wsi można zobaczyć jakąś „dwukółkę” ciągniętą przez krowę. Więc to są takie najprostrze klimaty i skrajności jak wszędzie. Jeśli chodzi o przyrodę i klimat, w sensie pogody, to mogłoby to być wymarzone miejsce na ziemi. Leży zresztą na wysokości geograficznej Włoch.

*Do Tbilisi przyjechałem przedwczoraj wieczorem, był straszny wiatr, duży ruch, dużo objazdów i nadłożyłem drogi chcąc trochę zobaczyć. Zobaczyłem niewiele, ale jak zwykle miałem miłe spotkanie z gruzińskimi chłopami - poczęstowali mnie czacza, czyli gruzińską wódkę z winogron. Polecam.*

**S.K.: Jaka był przeprawa przez granice Gruzji i Azerbejdżanu?**

M. K.: Kilka budek, bramki, młodzi chłopcy z karabinami jako strażnicy, co wyglądało trochę dziwnie. Ale to była tylko formalność, po podpisaniu kilku papierków puścili mnie dalej. Oczywiście byli bardzo zdziwieni moim środkiem transportu. W przewodniku przeczytałem że Azerbejdżan jest dużo bardziej bezpieczny niż Gruzja i trochę mi to pomogło w dalszej podróży, czułem się dużo swobodniej niż w Gruzji.

*Salam Alejkum! Spałem dziś u Azerów i Cyganów sprzedających owoce przy drodze. Wieczorem dostałem sałatkę z arbużów i melonów. No i oczywiście wysmienity c'ay (herbatę). Spałem w śpiworze właściwie na polu pod prowizorycznym baldachimem. Było ciepło.*

**S.K.: Jak wyglądała twoja dalsza droga przez Azerbejdżan?**

M. K.: Jechałem cały czas w kierunku Baku. Krajobrazy zmieniały się, dookoła rozciągał się step. Niestety oszczędzałem aparat na później i nie zrobiłem takich zdjęć stepu jak bym chciał. Ale były widoki i kontakt z ludźmi. To ważne. Tak samo jak w Gruzji, ludzie zatrzymywali mnie na ulicy, zadawali pytania, częstowali herbatą. Po tym właśnie można odróżnić Gruzina od Azera. Gruzini piją wino, w Azerbejdżanie pyszną aromatyczną herbatę strasznie życzliwi ludzie. Czasami chyba oni byli bardziej ciekawi mnie niż ja ich, nie mogli zrozumieć że ktoś z zewnątrz ich odwiedza.

*Nie mogę się doczekać zdjęć. Muszę przyznać że niektóre sytuacje paraliżowały mnie fotograficznie, inne zaś wyzwały „nieznane”.*

**S.K.: A napotkałeś jakieś Polskie ślady?**

M. K.: Tak naprawdę śladów polskości w Baku jest bardzo dużo. Każdy na pewno pamięta Cezarego Barykę z „Przedwiośnia”. Bardzo dużo polskich architektów budowało tam również domy, zwłaszcza na Starym Mieście. Spotkałem nawet jednego Azera który mieszkał kiedyś przez pięć lat w Rzeszowie.

**S.K.: Czyli jest to bezpieczny kraj do zwiedzenia?**

M. K.: Tak, zdecydowanie tak! To znaczy, jak omija się regiony Osetii Północnej i Abchazji gdzie mogą jeszcze grasować bojówki partyzanckie (podobno) to uważam że jak najbardziej.

**S.K.: Piękna podróż pomiędzy Morzem Kaspijskim a Morzem Czarnym, na pewno masz plany na jakieś kolejne wyprawy?**

M. K.: Myśle o jakiejś wyprawie do Azji. Może północna Rosja. Jeszcze nie jestem pewny.

*Osiągnąłem cel, chociaż to jeszcze nie koniec podróży. Było bardzo pouczające, odkrywczo jeśli chodzi o kulturę obyczaje i kulinaria ale też jeśli chodzi o samego siebie. Wszystko było takie... pierwsze. Chwilami czułem się jak dziecko, które odkrywa dopiero świat wokół siebie. Wróciły sny, a życie okazało się czymś więcej niż codzienną rutyną.*

**S.K.: Co dała ci ta podróż?**

M. K.: Trudno odpowiedzieć tak wprost. Miałem czas, żeby zastanowić się nad przeszłością i przyszłością. Nad tym co bym chciał w życiu robić. Generalnie cały wyjazd uważam za bardzo mistyczny i uduchowiony.

*Bilans strat: zostawiłem czapkę u gospodarzy w Gruzji, niech im służy. Mnie słońce spaliło na twarzy. Zgubiłem też dwa podkoszulki. Zwiato mi je z roweru kiedy jechałem bez podkoszulka. Nic to.*

*piątek, 29 września 2006 18:32  
Wiec jestem w domu. Szczęśliwie i cały!*

Foto: Michał Korta, autoportret 2007



\* **Michał Korta** - ur 1975 w Bochni, germanista i fotograf. Mieszka i pracuje w Krakowie. Córka Sonia, lat 9. Wolny duch i miłośnik chartów. Cytaty w tekście są fragmentami bloga Michał Korta. W całości dostępny na stronie: <http://web.mac.com/michalkorta>

## LISTY Z AMSTERDAMU

# Przygody, tułaczka i światowe życie duchowego wiwisektora – Juffertje van Neus(talgie)

Odkrywanie nowych przestrzeni bywa przez znaczną większość praktykowane na drodze powtarzania cudzych schematów poznania, kroczenia wydeptanymi ścieżkami i rozpoznawania już uznanych punktów na mapie. Ten szlak, mimo że mało odkrywczy, dostarcza wiele przyjemności, przynależy bowiem, by tak rzec, do przyjętej kultury zwiedzania; poruszający się po nim turysta odtwarza to, co zostało przez innych wyszczególnione i uznane za warte uwagi. W Amsterdamie do takich miejsc należą kanały, Red-Light District, coffee shops, gay street, dawny ratusz, teraz Pałac Królewski De Dam położony w geograficznym centrum miasta, zabytkowe kamienice, które przypominają o świetno-

ści holenderskiego złotego wieku oraz imponujące kolekcje muzealne (Rijksmuseum, Rembrandthuis, van Gogh Museum, Stadelijk Museum) – będąc tu nie wypada tego wszystkiego nie zobaczyć. Możliwy jest jednak wybór innej, mniej uczęszczanej drogi, która prowadzi do prawdziwszego (bo bardziej indywidualnego) poznania. Zamiast potoczności, konwencjonalności i pośpiesznych rzutów okiem lepiej jest poddać się miastu. Jeśli na schodach owych zabytkowych kamienic w centrum miasta przesiadują mieszkańcy, warto osmielić się i zamienić z nimi kilka słów, skoro to głównie w tym celu tam przesiadują. Wędrując po Amsterdamie, warto zawitać do rzadziej uczęsz-

czanej przez turystów wschodniej dzielnicy miasta – Jordan, dawniej należącej do biedoty miejskiej, teraz pełnej czarujących zaułków, przytulnych restauracji i małych galerii sztuki. Jednym z moich ulubionych miejsc jest wyspa Java, mieszkalne osiedle położone na wodzie, które wbrew swej nazwie wygląda raczej nierealnie, niczym bardzo starannie ułożone klocki lego, i które wraz z okolicznymi budynkami stanowi ujmujący przykład współczesnej architektury. Gdziekolwiek nogi poniosą, jednego można być pewnym - Amsterdam jest miastem, w którym warto się zgubić, bowiem przygodność bywa tu bardzo odkrywczą.



# Dobra decyzja

## Z gitarzystą The Frames, Robem Bochnikiem

rozmawia Sina i PIO

**PIO: Jak to się stało że jesteś w Krakowie? To historyczny moment będziecie z Danielem i Siną grać pierwszy wspólny koncert.**

Rob: Ja chciałem... Mam rodzinę w Warszawie i Gdańsku i oni wysłali mnie do Krakowa, bo Kraków jest...

**PIO: super!**

Rob: Tak, super :) A to, że spotkaliśmy się tu w tym samym czasie to przypadek.

**PIO: Od jak dawna znacie się z Siną i Danielem?**

Rob: Poznaliśmy się na tour „The Frames”  
Sina: To był pierwszy koncert w Brnie, w lutym tego roku. Zналиśmy Glena Hansarda, ale nie znaleźliśmy reszty zespołu.

**PIO: Byliście razem na trasie koncertowej, tak?**

Sina: Robiliśmy support dla „The Frames”. Zagraлиśmy trzy koncerty w Czechach i cztery w Austrii.

**PIO: Z wykształcenia jesteś inżynierem dźwięku. Jak to się stało że zaczęłeś grać z The FRAMES?**

Rob: Jak pracowałem w studio nagrań w Chicago – Electrical Audio. Moim szefem był Steve Albini. Pracowałem tam 8 lat i byłem inżynierem dźwięku i tam spotkałem się z Glenem. Półtora roku później spotkałem się ponownie z Glenem na moim koncercie w 2001 roku gdy grałem z grupą „The Butchershop Quartet” I też z inną grupą z Dan'em w Nad Navillus. My friend Dan, who is Nad Navillus, booked a small tour through Ireland in October of 2001. We played a show with Glen in west Cork, in club called DeBarra's in Clonakilty, it was owned by Noel Redding. Anyway, we were supporting Glen that night and he was looking for guitar player to do a tour with the Frames because

David Odium had left the band a month or two beforehand and they had a tour of the states coming up that following December, so I was asked to play. That's how it started.

**PIO: Zanim zacząłeś grać w „The Frames”, miałeś własny zespół?**

ROB: Tak, pierwsza grupa nazywała się „Garden Bower”, później „The Butchershop Quartet”, we took the “Rite of Spring” by Igor Stravinsky, an orchestral piece, and we arranged it and scored it, in its entirety, for rock band: 2 guitars, bass and drums. It's crazy sounding stuff. But Glen knew about „The Butchershop Quartet” and thought the music was crazy and seemed to be impressed. I think he thought that if I could play this kind of stuff, then I could play any of the frames songs that are quiet, dynamic, complicated.

**PIO: Słyszałem twoją nowo nagrałą płytę. Czym się różni się twoja muzyka od tej którą grasz z „The Frames”?**

Rob: Nie wiem, bo ja dużo się nauczyłem grając z „The Frames” i dużo nauczyłem się patrząc, jak Glen gra, jak śpiewa, i to dało mi confidence żeby to było podobnie.

**Sina: Ale twoje piosenki są zupełnie inne niż Glena?**

ROB: Jak ja byłem w liceum ja studiowałem muzykę klasyczną, jazz. Też lubie Miles Davis, King Crimson, Stravinsky, Bartok, Pink Floyd, John Zorn, Charles Mingus. I learned and played a lot of different types of music, by making my own record, I was able to take elements that I really liked and apply it to my own music. I didn't necessarily have the opportunity to do this with other bands that I played in. It's like going into your own world, you make something for yourself.

You don't have to worry about what everybody thinks about it except for yourself. When you play with a group, you have to be more sympathetic.

**Sina: In The Frames you are working with songs that are written by someone else?**

Rob: That's right. Glen brings the form, the chord structure, so that's what we are playing to. Whereas in my songs I bring the chord structure, the arrangements, so that's probably the biggest difference.

**Sina: One more thing. On you records are musicians from „The Frames”, so it's almost the same band, but the final sound is different from The Frames. It's bizarre.**

Rob: The drummer is Johnny Boyle, he played with Picture House and Marianne Faithful. He has been playing with Frames for years, but he hasn't recorded with the Frames yet. Hopefully, the next Frames record will have Johnny playing on it. I wanted to use Johnny- see what he could do, what he could write, what he was capable of. That's why I asked him to play on my record. Joe Doyle plays bass in The Frames, but he played on two songs on my record- the 2nd song 'Back and Forth' and the 7th 'Spawns of Satan'. For those two songs, I needed for someone else to bring in the bass line. I felt the bass part that I was playing was kind of boring I needed someone else to shake it up. I played mostly everything else by myself- the pedal steel, the guitars, bass and piano. I arranged the strings at the end „Friends” originally for a Frames song „In the Arms of This Low” during the recording session for „The Cost”. It was decided, however, that the arrangement wouldn't work for that song... so I said 'fuck it, I'm gonna use it for one of my own songs'



**PIO: So it's nearly exactly The Frames but with your idea of the music?**

Rob: Yeah. But I'm not trying to compete with Glen or the band in any way. For me it's just an outlet, I did it mostly myself, probably because I didn't want to bother anyone else. I look after the Frames' recording studio, we have a small set up and I used it to make my record.

**PIO: To jak wygląda historia zdobywania popularności przez „The Frames”?**

Rob: The Frames – they started in 1990- been around for over 17 years. Their early records were released on major labels. „Another Love Song” was released on Island records and they eventually parted ways. Then, they signed with ZTT, Trevor Horn's record label. Trevor Horn worked with The Art of Noise, Frankie Goes To Hollywood, Seal, The Buggles, etc. The Frames released two records on ZTT, „Fitzcarraldo” and „Dance the Devil”. The overall experience for the Frames on ZTT was not very good. Little effort was put into their publicity or touring. It was not a healthy relationship. They parted ways. At this point, the Frames nearly disbanded, they had enough of the music business, especially major labels. In 2000, they recorded „For the Birds”, on their own terms and self-released the album. That is when a huge fan base started to develop for the band in Ireland. This gave them the boost they needed to continue as a band.

**PIO: Kto wydaje the frames?**

Rob: W Irlandii to jest Plateau Records – ale to jest kompania The Frames.

**PIO: A gdzie ty wydałeś swoją płytę?**

Rob: Plateau. I „Swell Season” też jest wydane przez Plateau a w stanach zjednoczonych „ANTI”

**PIO: To jest ta sama wytwornia co wydaje Toma Waitsa?**

Rob: Tak jest, w Europie tak samo „ANTI” wydaje nasze płyty.

**PIO: Gdy „The Frames” zaproponowali, żebyś grał z nimi to musiała być ważna dla ciebie decyzja, musiałeś przecież przenieść się ze Stanów do Irlandii. Była to dobra decyzja?**

Rob: Tak, dobra decyzja. Bo jak mieszkałem w Chicago zawsze grałem i pracowałem dla innych, i nie miałem czasu na nic innego. Nie miałem czasu dla siebie. Odkąd mieszkałem w Irlandii to mam czas dla siebie a to dla mnie ważne.

**PIO: Czyli pomimo że gracie około 200 koncertów rocznie to jeszcze masz czas na robienie swojej muzyki, tak?**

Rob: Tak, czasami, udaje się :) W tym roku jest trochę więcej pracy, bo Glen robi teraz promocje filmu „Once” so he's busy doing that and we have time off.

**PIO: Co to za film?**

Rob: Tak, „Once” to jest film... Glen's songs are in the film and it's a story.

Sina: he's playing the main character there

Rob: „Once” was filmed last year. The story is loosely based on Glen's life as a busker.

Sina: Taki co gra na ulicy?

Rob: Street musician. Piosenki w tym filmie są Glena – on je napisał a The Frames je wykonuje.

**PIO: Czy to jest produkcja niezależna?**

Rob: It's worldwide release.

**PIO: Zanim zacząłeś grać w „The Frames”, znałeś ich muzykę?**

Rob: Nie, nie znałem. Poznałem jak zacząłem z nimi grać. I lubilem, ale nie myślałem .. i never thought i would be a part of the group. I never imagined that would have happened.

**PIO: A chciałeś kiedykolwiek grać w takiej grupie? Byłeś operatorem dźwięku, studiowałeś muzykę. Więc ważniejsze było bycie muzykiem czy pracowanie jako inżynier dźwięku?**

Rob: I worked as an engineer 'cause it was close to music, but in Chicago and I think in states in general, it's very difficult to play music and earn a living. The groups I was playing with in the states didn't earn a lot of money. We didn't have a record label, just doing it for love of doing it. It just didn't work out financially. So I worked in the recording studio because I love recording music but it was also a way for me to earn a living and still be close to music. After work everyday, I'd leave the studio and go to band rehearsals.

**PIO: Urodziłeś się w Stanach Zjednoczonych, masz rodziców Polaków, mówisz po polsku, mieszkasz i pracujesz w Irlandii, kim czujesz się najbardziej, Polakiem, Amerykaninem, czy może już Irlandczykiem?**

Rob: Ja czuję się Polakiem, Rodzice są Polakami, Matka urodziła się w Warszawie, Ojciec urodził się w Wilnie przed wojną. Ojciec i jego rodzina, dwie siostry i matka są sybirakami. Ja czuję się jak Polak, chodziłem do polskiej szkoły podstawowej i nawet byłem harcerzem!

**PIO: A nie skautem? :)**

Rob: Harcerzem. Najpierw zuchem a potem harcerzem. Polski język był moim pierwszym językiem, ale jak poszedłem do szkoły angielskiej it became my secondary language.

**PIO: Dziękuję wam za rozmowę.**

Rob: Thanks.

Sina: Dziękujemy.

**Rozmowa została przeprowadzona 15 maja 2007 roku w klubie LOKATOR i jest dokładnym zapisem ze spotkania.**

**W księgarni klubu LOKATOR można kupić solową płytę Roba Bochnika oraz płyty wytwórni Slnko Rekords.**

# O radościach jak bańki mydlane

dla A.

Miało być o szczęściu. O radościach jak bańki mydlane frunące nad barem w Lokatorze. O kojących poranną niewyraźność promieniach słonecznych zażywanych nad Wisłą brzegiem przy okazji lektury takiego Žižka na przykład. O planowaniu rewolucji (co to niby już „u bram”) i społecznych przewrotów przy akompaniamencie kolejnych wiśniówek z sokiem grejpfrutowym. Niektórzy wolą zastanawiać się nad rozwiązywaniem odwiecznej zagadki – jak to się mogło stać, że łódź przeszedł przez pustynię? Ale o tego rodzaju dziwakach pisać nie zamierzałem, a o poważnym i „dorosłym” do sprawy szczęścia podejściu, jak u osób o dojrzałych osobowościach. Takich co wesprzeć potrafią, do kina czy na spacer zabrać i w kilku zwięzłych zdaniach sens życia wyłożyć też są w stanie. Ale też dobrze wiedzą, że „żeby szczęście mogło się zdarzyć, trzeba marzyć”.

Tylko gdzie szukać tych „dojrzałych”? W tej chwili dojrzałe są czereśnie, truskawki i to jest znakomity powód do radosnych fajerwerków podniebienia. Najlepiej zerwać pełne miąższu owoce na własnej grządce czy zagonie. By później po czesko-krakowsku (podobno Kraków jest czeską wyspą w polskiej Polsce – tak utrzymuje Petr Zelenka, wypada mu wierzyć) cieszyć się ich smakiem i życiem w ogólności. Choć jeśli „Szczęście” ma być takie jak w filmach nowego specjalisty od czeskiej prowincji – Bohdana Slámy – to ja dziękuję bardzo. Zeby się tyłtać w błotku zadupia, przy minimalnej ilości rozrywek i co gorsza z tego utyltania nie móc się wydobyć i w nim szczęścia upatrywać to nie-szczęście raczej. Jeśli by zaś szukać spełnienia w miłosnych uniesieniach, to kiedy się obejrzy taki nie daj Boże „Seks

w Brnie” Vladimira Moravka (w oryginale „Nuda w Brnie” co oddaje doskonale nastrój filmu...) człowiek zupełnie oklapnięty się staje z wszelkich swych natchnień.

Szczęście człowieka dojrzałego – czy to możliwe? Dito Montiel w swoim filmie „Wszyscy twoi święci” portretuje sam siebie, powracającego do „krajiny” młodości. Okazuje się, że powrót do ludzi i miejsc, które się opuszczało z lęku przed marazmem, przemocą, bezradnością i brakiem jakichkolwiek perspektyw, okazał się konieczny, aby można było spojrzeć sobie w twarz w lustrze. To zdecydowanie nie jest „czeska” opowieść, sprawy toczą się w czasie gorącego lata 1986 roku, jest upalnie, ostro i momentami przejmująco dotkliwie. Czy dla Dito powrót okazał się szczęśliwy? – warto sprawdzić.

Kiedy już się uporamy z traumami młodości, zostawimy za sobą odruchy nieodpowiedzialne i karkołomne, być może dane nam będzie zażyć dość mieszczańskich wygód. Posłuchajcie: „Siedzieli w kącie pokoju przy bambusowym stoliku z mosiężnym blatem o wschodnich ornamentach; na stoliku stały przyrządy do kawy i utensylia do palenia. Pod stopami mieli barwny dywan. Radca Behrens wysypał łyżeczką kawę i cukier do naczynia o długiej rączce, nalał w nie wody i zagotował na spirytusowym płomieniu. Zapieniły się brunatno pękate filiżaneczki i kawa po skosztowaniu okazała się zarówno mocna, jak słodka.” Tak, Tomasz Mann miał talent do reklamowania używek... W innym miejscu z niepohamowaną siłą przekonywania rozprawia o paleniu. Kawa i papierosy z klasą podane, w warunkach sprzyjających i w doborowym towarzy-

stwie czegoż chcieć więcej do szczęścia?

Miało być tylko o szczęściu, ale jak tu nie wspomnieć Don Kichota narodowców R. Giertycha co to tym razem z wiatrakami lektur szkolnych się wadzi. Choć zamierzał pewnie jak najgorzej i po szatańsku iście postąpił z Kafką, Gombrowiczem i Goethem, mistrzem pseudo-biblijnych opowieści Dobraczyńskim próbując ich zastąpić, to wyszło zupełnie na opak. Pan G. zapomniał, że najpewniej „jest częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni”. Dzięki jego działaniom młodzież nareszcie zacznie czytać znakomitych autorów – powszechnie wiadomo, że wciągnięcie na listę lektur zabija lekturę właśnie. W dodatku ta medialna promocja – wspaniała i darmowa – książki z indeksu Romana rzucą was na kolana!

Szczęścia za grosz nie mają teletubisie, które będą pewnie musiały powiedzieć pa, pa. A przecież wystarczy pobieżny rzut oka na kilka innych popularnych bajek – choćby „Bolek i Lolek”, czy „Miś Uszatek”, albo taki Wilk z Zającem, lub też Żwirek z Muchomorkiem, nie wspominając o serii z Panem Kleksem w roli głównej... Przecież to jedna wielka homo i pedo propaganda. Proszę bardzo, niech „zdelegalizują Pana, Panią”, Teletubisie, Misia, Bolka i Muchomorka. Niech już „nie będzie niczego”, oprócz uniesień patriotycznych. Kto wie, może dzięki temu szczęśliwi się staniemy raz na zawsze. O ile wcześniej nie zdarzy nam się „umrzeć za pierwiastek”...

**Paweł Ścibisz**  
pawel.scibisz@kinoskop.pl

**kinoskop.pl**

## Nina Hynes & Fabien after the first concert at LOKATOR

Foto: Piotr Kaliński. Klub LOKATOR, 23 czerwca 2007.



# Really, really do... love each other

**Nina:** Good Morning. We are in Krakow, welcome to our home, where we have a coffee, where we have pillows and we can sleep.

**Fabien:** We have some clothes: Nina Hynes t-shirt, Japanese dress and a tennis dress from the 60's

**Nina:** 1962, France

**Jo:** You could make a world tour going from a country to a country in your van and collect dresses.

**Nina:** We have just begun a European tour. We have been to Slovakia, Austria and now it's Poland. Then we go back to Berlin, to live forever and place ourselves there.

**Jo:** Yeah, to travel in your van. Does it have a name?

**Fabien:** It's Hannes.

**Nina:** Hannes the vanes

**Jo:** It's after the previous owner, right?

**Fabien:** Exactly

**Nina:** Hannes is a very cool guy, who sold the car to us in Berlin and helped us in offices to register it. It's a lot of bureaucracy. We don't speak German yet and he was amazing.

**Jo:** How did u meet him?

**Fabien:** Actually it's a funny story. The same day I was just walking on the street and I saw this van. We always find what we need through the people we met and that's what is cool actually and it's more human and you get communication. So I was walking down the street and I saw this van and I thought I would like to buy such a van and not one of the vans you can find on internet. Just few hours later Nina called me and said: 'Hey, I just got an sms from a guy.'

**Nina:** He was actually making out t-shirts, printing them, so he texted me saying 'I just saw a van on the street that looks that it could be exactly for you' and he gave

me a number. Few hours later I met Fabien and shown him this text 'hey, I've got THIS number' and he said: 'is it THIS number?' and I said: 'it's the same phone number!'. He found the same van on the street! Berlin is a quite big city and finding the same van on the same day was kind of - tiu, tiu, tiu - (Nina's singing). But I like such things anyway.

**Fabien:** It was magical. We found a perfect van with written on it 'Fur immer rock' which means 'forever rock'. It was made for us.

**Jo:** One would dare to say it's destiny... and it was the same thing with you guys, right? As far as I know it seemed like all roads led to your cooperation.

**Fabien:** Yeah, Nina came to France when she was 16, but we didn't meet that time.

**Nina:** But I was looking for you already...

**Fabien:** ...and I was waiting for her.

**Nina:** You came to Ireland, too.

**Fabien:** I went to Ireland few times and I loved it, I loved the people. I felt nearly like I was in my second home.

**Nina:** I felt the same about France. I was with drawn to France many times and I didn't know why. First time I was in France I was 2, we went camping with my family - it was 20 of us, we had an old van with a roof rack.

**Jo:** Was it an old version of this one? With the wheel on front?

**Nina:** Yes. So that was my first visit to France and introduction to my French life.

**Jo:** And then Fabien became your favorite husband out of the other husbands.

**Fabien:** as it's written on the t-shirt = Nina Hynes and the husbands / really, really do.

**Nina:** We really really do...

**Fabien:** ...love each other.

**Jo:** Nina, once you said that Fabien got so involved in your music and also in the production of it, and you became bit less 'bossy'?

**Nina:** Yes, definitely. He's not easy to boss around. He fights with me! I have to find new ways of asking him to do what I want him to do. It can't just go 'Can you do this?' - it doesn't work. I always need to find new ways.

**Jo:** Does it influence the kind of music you make?

**Nina:** It influences the kind of music we make together, what he plays, he dreams the kind of music, what he brings to music. So playing with him is 'Nina and Fabien' not 'Nina'.

**Jo:** And you're on tour together for how long?

**Nina:** Since September. And now it's June.

**Jo:** Do you think you'll evolve like Sina and Dano - playing just two of them?

**Nina:** Sina and Dano, the Longital from Slovakia, they're an amazing couple. They booked our tour in Slovakia. The tour was incredible - every gig was sold out, and people were very friendly. Through all the tour. Very special. Usually in Ireland we have the Husbands, which is a full band ideally we would travel with them, but it's impossible. It's hard for an indie band, to travel like that. It's much easier traveling with just the two of us. I don't miss them, it's just that music takes to different dimension. It's a different thing, I would love to play with them all around the world, on special gigs. I don't think our gig's are lacking something due to playing just two of us. We're just playing in different way.

**Jo:** So it's something natural you're evolving.

**Nina:** Yes, every day is changing, every gig,

**Jo:** So which concert you remember the most?

**Nina:** In Lokator.





**Jo: Ok, but that's a fresh memory. How about the concert you will never ever forget?**

Fabien: It was in Cork in Ireland. It was the third gig we did together. We got amazing communication with the crowd. Everything was perfect, the sound was great, people at the same time were quiet and listening to music, and between the songs they were very reactive, talking to us, happy and exited to be there. So we had everything – listening to the music, joy, and excitement. We got standing ovation. It was crazy.

Nina: It was great experience. We could see that it's working what we're doing. That helped us much better to see people reacting in very positive way.

Fabien: I also liked the gig at Bratislava, Slovakia.

Nina: Yeah, I was so hot that I prefer that one in Stanica. It was like playing in a sauna – there was so many people, no air-conditioning, very hot day. But the audience was incredible.

Fabien: That's also why, I liked the gig in Bratislava in a way. It was kind of on the edge, cause it was so hot, quite loud, it was on the edge of breaking, on the edge of being bad on stage. But it worked and the people were just amazing – I really could communicate. I never talked as much before. It was more rock atmosphere because of the heat, a lot of people, really loud response. Yeah, that was my favorite gig.

Nina: I don't have any favorite, I love them all – they are totally different.

**Jo: I wanted to go back to past, to your musical education. You, Fabien, have basic classical education, and you Nina, as I've read somewhere, you have started with very weird thing – with recording the heart machines?**

Nina: My aunt was a nurse in hospital, where they used to record the heart machines, the way that heart moves, they used to put them on cassette, they recorded the movements of the hearts – the beeps on the cassette. I used to have two tape recorders and I used to do music above one of them, with the heart machine on the other and singing. I wish I'd have those tapes now, cause they were very cool. I was just 8 or 7 years old. I really liked to listen to the recordings of those heart machines. She used to give me those cassettes so I could tape over them or record on them in my tape recorder. My sister bought me this red tape recorder like a space ship. She's sent me some cotton wool to grow and this red tape recorder in a funny shape. I was in love with it. I used to spend all of my time with it.

**Jo: So from the very, very beginning you were using everything what was around you to make music, like spoons for example.**

Nina: Yes. Music is all around us. It's part of our life, like having breakfast. When I had piano lessons I knew a lot of kids who knew the intervals and were pretending they were reading and playing, though they couldn't play and read at the same time cause the music was coming from inside and not from the head. I never could really go beyond that point of connecting those two things. Fabien actually did – he learned classical music, really, his standard is so high. He can read and feel music at the same time, I reach it when I play a really simple song. I was playing music, not connecting it in a technical way. Maybe one day I'll get there – I'd like to.

Fabien: My point is that I got this education, so I reached a certain level, actually good enough so I could get pleasure from it. I was in between the consciousness of the score and the knowledge of reading the music. At the same time feeling something more personal of what that music means to me than the score, bringing my own emotions to it. It wasn't good enough though... I wanted to do something personal, that comes from me and not from my consciousness or knowledge. I was trying to get away from this knowledge. Sometimes it's not easy.

**S.K.: So where do you get new inspirations to write new things? Is it from environment like city you live in or from the people you meet?**

Fabien: I think we are creative people, that we have something in our body, in our brain, and we have something ready inside of us that is ready to get out.

**Jo: But don't you need those spikes to release those things?**

Fabien: What I think is that they are all the time inside, but they will only come out in a certain conditions. I can't explain why, but sometimes, something comes out for no reason and I realize, when I think about it later, that it must have been the perfect moment, perfect ambience, the perfect light, perfect silence around, maybe perfect like somebody working with glass. When it comes out that's it and then it just needs to be played. That's what I feel – it's good like that. Sometimes I find myself fighting to realize something cause I have an idea, but it never works that way as it always comes back to feeling.

**Jo: Fabien, you've said something about those magical moments and release of new thing from yourself – did you ever have this kind of situation during the concert? Did it ever happen, that due to great atmosphere on the concert, the energy coming from the people, you started to improvise or something like that?**

Fabien: Yeah. Lets say I decide from now on to play between songs when nina is changing the guitars or tuning, and there is lots of space for me to playing something to make kind of atmosphere. The funny thing is that it's something that we decided so I'm gona do it all the time but I can decide depending on the atmosphere, how the gig is going that is affecting what I'm doing, what I'm creating. It's something magical – I'm not thinking at all, it's just coming out of my fingers just like that and it's lovely sound, it's so easy. But sometimes when the gig is not good and I'm tensed, there are technical problems – then that funny thing of playing just few notes is hard. It's not coming.

Nina: I think that secret is to find a way, a channel. When something is uncomfortable – the channels are blocked. What I find from touring and playing a lot of gigs – there are little keys to open the blocked channels and find ways how to deal with the mechanism of opening the blocked channel. If you're not playing regularly you need to find ways how to let the channels go. I learned how to do that and I love that I can control that. For instance – if I'm playing a gig and I'm having a lot of technical problems I just turn off that side of me that wants things to be perfect and my aim changes 'ok, so life is not perfect, but who's here? And how we will play although the technology doesn't allow it to be ideal?' and the aim becomes the connection between me and the audience. From that the music becomes freer again, even though it doesn't sound so wonderful or as it is in my head. So it's always about the communication at the concert, more then perfection.

**Jo: So what will you do when you'll be a big big star at a huge concert in front of many people. Of course you'll have a good communication with your fans, but still isn't it that during the big concerts you don't have such good contact with people?**

Nina: No. I played some big concert as a support in front of 5000 people and I was on my own with my guitar, loops etc., and I felt totally connected. It was very strange feeling, because they weren't my audience and still I felt they were with me, really supporting me. I felt very intimate with the audience.

Fabien: I see it more like on/off thing. It's not a matter of 2/3/5000 people, it's matter if it's working or not. What nina was saying interesting earlier- it's our job, so when it's not working we need to tune our brains to make it work. I think that's what makes us good musicians – whatever the contact is, we can communicate with the audience.

**Jo: I saw on the concert in Lokator on Monday – Can imagine it's important to see other person almost saying 'hey, I'm here.' It looks like you're cooperating on the scene very well – it's two men show, not one+one man show. Do you also make screenplays together before the show? I'm talking about the little details, like pistols or n-no, we never talk about these things. We're like that in our apartment – we're like kids, seriously. We**

**love playing with toys, we love chasing each other with water pistols. We have a lot of fun and we both have this child-like sense of humor. So that happens at the concerts too.**

**Jo: So you bring a part of your intimate life to the scene?**

Nina: we don't like to separate our life from the scene. Fabien: what I've heard from the people who knew nina, new her before pretty well, they said she is exactly the same. And what they love in her is actually that they could find her on stage exactly the same as in reality, in real life. They found that there were no separations and the person on stage was due to that really excisable. She was just the same, honest.

**Jo: Nothing artificial. No big star manner**

Nina: Except the nail varnish.:)

**Jo: But what about the little things you do on stage like moving you leg in a funny way.. aren't you a little actress?**

Nina: That's me just dancing. I do that when I do... too. It's my body moving to the music. It feels natural to be playing and moving at the same time. It's an energy thing too. Concerts are just an extension of our life.

Fabien: It's funny thing cause people put limits between them and the musicians on stage. They put limitations themselves and they kind of like it. They like it keeping it as a dream, inaccessible. It's fine – I really understand that. I was like that too when I was young. I have been liking a state of mind thinking about then not as a normal person. In this situation I've kind of liked it... it's kind of a mystery, that they like to keep it like that. So being a musician, traveling and meeting other musicians. They are normal people, well, maybe sometimes crazy. So they are accessible, with no limits. Those limits people create in their minds, something you wish to be magical. It's cool...

Nina: life is magical enough. You don't need to create an enigma. It happens every day, in everybody's life, no matter if he sees it or not.

**Jo: But it's always easier for people to see a bright star coming shining coming to Lokator on stage. But speaking of other musicians, other artists. Nina, you used to work and cooperate with other groups, you've been involved in many projects and you have a lifetime project with Fabien. Are you planning any projects/cooperation now?**

Fabien: Everything is new, now. We have lots of songs coming, we would like to record them, work on it. We're always kind of running after time.

Nina: there is never enough time. We feel like there is so much to do, we can't wait to go back to berlin, set up our home there, working and making really new music. That's our plan. To make things better. Everytime were doing something we see the limitations of things that we're doing, so we want to open them up.

**Jo: As you said in the beginning – new things come with other people also.**

Nina: Actually, we have a colarbotarion with an artist in Irland, he's a visual artist. He's got an obsession of music. And he want's to make his house as an art project. So Fabien is going to record it and produce it. And I'm writing songs for him or help him to write songs. So that's new coming. And we're in the a-band, I've forgot about it. We're collaborating with musicians from irland and New York – it's an improvisation band, we're making a lot of gigs with them. The idea is to find really unusual places to play music.

**Jo: Like?**

Nina: Like last night. Fabien and I made a gig in the kitchen in Lokator in Kraków, which is not used as a kitchen, but there're taps on the walls. There's gallery space and there's red light and people had to come in through the window to the performance. It was more exciting to people then actual proper gig. Strange place – white tiles, red light. Mysterious.

**rozmawiała: Jolanta Kot, klub Lokator 22.06.2007**

# LIVE MUSIC AT LOKATOR

every Thursday & Saturday, 8 p.m.

## FREE ENTRANCE

### JULY 2007

5.07.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Grzegorz Gruboś - guitar  
Agata Paszek - vocal

7.07.007 (saturday)  
LIVE MUSIC AT LOKATOR  
BORDO  
Robert Stobbe - bas, vocal  
Tomasz Zawadzki - drums  
Robert Żuławiński - klarnet  
Tomasz Kaczmarczyk - guitar, piano

12.07.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Kasia Radwańska - vocal

14.07.2007 (saturday)  
JAZZ LIVE MUSIC AT LOKATOR  
Tomasz Kudyk Quartet

19.07.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Paulina Kujawska - vocal,  
Jarek Kaganiec - piano

26.07.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Justyna Motylska - vocal,  
Jarosław Hanik - piano

28.07.2007 (saturday)  
JAZZ LIVE MUSIC AT LOKATOR  
Dominik Bieńczycki Quartet



Foto: Piotr Kalirski, maj 2007.

LONGITAL (SK), Daniel Salontay - guitar.

### AUGUST 2007

2.08.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Paulina Kujawska - vocal,  
Jarek Kaganiec - piano

4.08.2007 (saturday)  
LIVE MUSIC AT LOKATOR  
LIMBO  
Michał Augustyniak - vocal, guitar, loopy,  
Łukasz Wiśniewski - harmonijka,  
Bartek Kazek - drums

9.08.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Justyna Motylska - vocal,  
Jarosław Hanik - piano

11.08.2007 (saturday)  
JAZZ LIVE MUSIC AT LOKATOR  
Dominik Bieńczycki Quartet

16.08.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Katarzyna Radwańska - vocal

18.08.2007 (saturday)  
LIVE MUSIC AT LOKATOR  
eRKaeM  
Bogusław Mietniowski - bass,  
Maciej Kleczek - guitar, vocal,  
Benedykt Radecki - drums

23.08.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Katarzyna Radwańska - vocal

< 25.08.2007 (saturday) [invitation]  
LIVE MUSIC AT LOKATOR  
LONGITAL (SK)  
Daniel - guitar, vocal  
Sina - bass, vocal

30.08.2007 (czwartek)  
Czwartkowe Duety Jazzowe  
Grzegorz Gryboś - guitar,  
Marysia Pohorecka - vocal

# JESTEM W DOMU

## O złych i dobrych stronach

## Krakowa

## opowiada

## Dennis Mc Evoy\*

rozmawia Stanisław Kot

S.K.: Przyjechałeś do Polski w 1999 roku. Jakie miałeś plany na tę podróż i co spowodowało, że zostałeś właśnie w Krakowie?

Denis: Przyjechałem do Polski w sierpniu 1999 roku, ze Szkocji autobusem, bez jedzenia, bez przygotowania, nie miałem gdzie spać i nikogo tutaj nie znałem. To był ten czas, gdy w Krakowie był papież, było ogromne wydarzenie, ale panowało też ogromne zamieszanie. Było mnóstwo turystów i nigdzie nie można było znaleźć wolnego miejsca do spania. Poznałem wtedy dziewczynę na przystanku tramwajowym, która mi pomogła, pojechała ze mną do schroniska na Oleandry, ale niestety tam okazało się, że też nie ma wolnych pokoi. Zaproponowała wtedy, żebym pojechał z nią do domu studenckiego i że na pewno u jakichś znajomych znajdzie się miejsce do spania „na waleta”. I tak mieszkałem przez kilka dni na Bydgoskiej. Całymi dniami wtedy chodziłem sam po mieście i poznawałem Kraków, a wieczorem razem ze studentami po knajpach. To było bardzo miły czas, od razu poczułem, że mam znajomych, że mam z kim porozmawiać. Potem udało mi się znaleźć pokój do wynajęcia na ulicy Długiej i zdecydowałem, że zostanę trochę dłużej. Wtedy jeszcze nie planowałem zostać tu na stałe, trochę podróżyowałem, pojechałem do Lublina, żeby zobaczyć coś jeszcze poza Krakowem i to było bardzo dziwne doświadczenie. Gdy wróciłem z powrotem do Krakowa, zobaczyłem Planty, sylwetki kościołów, poczułem, że jestem w domu. Ta świadomość zdziwiła mnie, przecież nie znałem języka, nie byłem stąd, ale jakoś szybko poczułem się jak w domu, nawet lepiej niż w domu.

S.K.: Nie planowałeś wrócić do Nowego Jorku?

Denis: Nie miałem po co. Wyjeżdżając rzuciłem pracę a miałem na tyle oszczędności, żeby pobyc w Europie centralnej przez kilka miesięcy. Zostałem dwa lata zanim wróciłem do Nowego Jorku. Mieszkałem w Krakowie, uczyłem się polskiego, trochę podróżyowałem, pracowałem w szkole językowej, trochę udzielałem prywatnych lekcji i trochę pracowałem w już nie istniejącym klubie internetowym „Point” na ulicy Grodzkiej.

S.K.: Dwa lata temu wróciłeś do Krakowa na stałe. Mówisz dobrze po polsku. Jesteś przewodnikiem miejskim, oprowadzasz wycieczki zagraniczne po Krakowie. Jak ci się to udało. Dostyc nietypowym zjawiskiem jest Amerykanin będący przewodnikiem po Krakowie?!

Denis: Jeszcze w Nowym Jorku przed przyjazdem tutaj wiedziałem, że chciałbym coś takiego zrobić, nie

[www.lokator.pointblue.com.pl](http://www.lokator.pointblue.com.pl)





Foto: Piotr Kaliński. Kraków, czerwiec 2007.



wiedziałem jak dokładnie to ma wyglądać, ale miałem nadzieję, że się uda. Po powrocie do Krakowa dowiedziałem się, że są organizowane profesjonalne kursy na przewodników i zapisałem się na nie. Zdawałem sobie sprawę, że to szaleństwo, bo kursy są bardzo trudne i zdaje się je w języku polskim, ale nie miałem za bardzo wyboru. Siedziałem całymi dniami w Bibliotece Jagiellońskiej i czytałem grube książki o historii Krakowa i Polski. I udało się, miałem cel, miałem bzika na punkcie Krakowa i udało się, zdałem egzamin i zostałem przewodnikiem.

**S.K.: Z tego co opowiadasz, nie jesteś typowym przewodnikiem po Krakowie. Co najchętniej pokazujesz turystom, których oprowadzasz?**

Denis: To zależy zawsze od grupy, co chcą zobaczyć, czy bardziej ich interesuje architektura czy sklepy. Są turyści, którzy na Rynku robią tylko kilka zdjęć a potem chcą iść na zakupy. A są też tacy, którzy zadają dużo pytań, interesują się i takim zawsze staram się pokazać kilka ciekawostek jak na przykład galerię plakatu na Stolarskiej, widok na miasto z tarasu Akademii Muzycznej czy pierogi u „Pani Stasi” lub bar u „Endziora” na Placu Nowym.

**S.K.: Denis, a jeśli poprosiłbym cię, żebyś wybrał miejsca w Krakowie dla ciebie ważne, nietypowe, które ty uważasz za warte zobaczenia?**

Denis: To jest trudne pytanie, bo ciężko jest wybrać w Krakowie kilka takich miejsc, każde ma inne znaczenie i inną historię, ale na pewno ciekawym miejscem do polecenia jest Kopiec Krakusa. Jest stamtąd świetny widok na miasto a poza tym jest to ciągle dzikie, trochę pogańskie miejsce, jest daleko od centrum i mało turystów tam dociera. Bardzo lubię też galerię plakatu na stolarskiej, ale prowadzę tam ludzi tylko jak wiem, że lubią kino, bo nie chciałbym, żeby pomyśleli, że ciągnę ich tam, żeby coś kupili tylko, żeby zobaczyli dobre plakaty filmowe i teatralne polskich plakacistów. Bardzo lubię pokazywać krypty w kościele Reformatów oraz stację drogi krzyżowej. Tam jest bardzo spokojnie, nigdy nie ma turystów i czasami można wejść do środka pomimo że oficjalnie krypty otwarte są tylko raz w roku. Rzadko się zdarza, ale prowadzę wycieczki na resztki „Twierdzy Kraków”, czyli Austriackie forty, które są rozproszone po Krakowie, Fort „Rajsko”, na południe od Krakowa, lub Bastion koło Nowego Kleparza. Jeszcze jest mały odcinek murów obronnych w jednym z ogrodów na ulicy Kanoniczej. Wszystkim ogromnie podoba się sklepienie w kościele Św. Krzyża, Kościół Św. Andrzeja na ulicy Grodzkiej, zwłaszcza

jak śpiewają tam siostry Klaryski, ludzie słuchają i potem na zewnątrz tłumaczą im o co chodzi. Też na ulicy Grodzkiej, za kościołem Piotra i Pawła są oryginalne posągi 12 apostołów, ale strasznie niestety zniszczone przez krakowskie powietrze. Nie mogę powiedzieć, że to są najciekawsze miejsca, ale na pewno nieznanne dla turystów, którzy przyjeżdżają do Krakowa po prostu z przewodnikiem w ręce.

**S.K.: Opowiadałeś też, że udaje ci się wprowadzać ludzi na Wieżę Mariacką.**

Denis: Tak. Oczywiście teraz, w wakacje jest udostępniona dla turystów, ale po sezonie czasami też udaje mi się tam zaprowadzić grupę, ale to jest nieprzewidywalne, wszystko zależy jaki strażnik ma wartę, niektórzy są bardzo mili i jak się poprosi to wpuszczają na górę.

**S.K.: Co z nocnym życiem Krakowa?**

Denis: To zależy również od grupy. Dlatego najbardziej wolę te prywatne grupy, bo z nimi można zawsze usiąść w kafejce, napić się kawy. Oni też często pytają, gdzie można iść wieczorem, gdzie się zabawić lub gdzie po prostu napić piwa. Często polecam im Singera, jest to knajpa, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie jak przyjechałem do Krakowa po raz pierwszy a poza tym wtedy była jedną z nielicznych na Kazimierzu. Często polecam też „Pauzę” w centrum, ale tylko popołudniu, gdy nie ma tam tak dużo ludzi i jest spokojnie, to jest naprawdę fajne miejsce. Bardzo lubię też Huśtawkę na ulicy Tomasza, wiem że ona w ogóle nie jest teraz modna, ale ja spędziłem tam bardzo dużo czasu ucząc się polskiego i mam miłe wspomnienia związane z tym miejscem.

**S.K.: Trochę czasu już spędziłeś w Krakowie, na pewno przez ten czas obserwowałeś wiele zmian jakie zaszły w mieście. Jak oceniasz te zmiany w ostatnich latach?**

Denis: Na pewno na lepsze. Jest otwartym miastem na turystów. Na pewno jest dużo więcej miejsc do spania, więcej knajp i sklepów, kamienice są odnowione i czyste. Nawet Rynek prawie skończyli remontować. To na pewno dobrze, gdy się miasto rozwija. Mnie osobiście najbardziej denerwują meleksy, które są wszędzie, na całym Starym Mieście, a ten sposób zwiedzania według mnie zabija ducha miasta.

**S.K.: Ok, jeśli ktoś wybiera się do Krakowa i chciałby się z tobą umówić na tour, jak najlepiej ma to zrobić?**

Denis: Zapraszam na moją stronę internetową [www.tourcracow.com](http://www.tourcracow.com) tam są wszystkie informacje,

możliwy jest kontakt mailowy i telefoniczny.

**S.K.:** Dziękuję za rozmowę i życzę dużo „prywatnych” wycieczek w tym sezonie.

**Lokator 23.06.2007**

**\*Dennis McEvoy - (1970) Urodzony w Nowym Jorku. Od siedmiu lat żyje i pracuje w Krakowie. Z wykształcenia psycholog, były kustosz Muzeum The Hall of Fame for Great Americans w Nowym Jorku, bibliotekarz w archiwum filmowym, obecnie przewodnik turystyczny po Krakowie. Pasjonat Kina. W Klubie Filmowym LOKATOR prowadzi pokazy „Old American movies”.**

**Dennis McEvoy – I am a licensed Krakow city guide and an enthusiastic promoter of Krakow's history, culture, architecture, and lore. (Previously I was the director of an historic monument in New York City where I was also a licensed tour guide.) It is my goal to reveal to travelers from around the world the secrets hidden in the architectural and cultural fabric of Krakow's streets, squares, synagogues, fortifications, churches, cellars, cafes, and courtyards.**

**Contact:**  
mobile: (+48) 500 807 358  
email: [Dennis@tourcracow.com](mailto:Dennis@tourcracow.com)

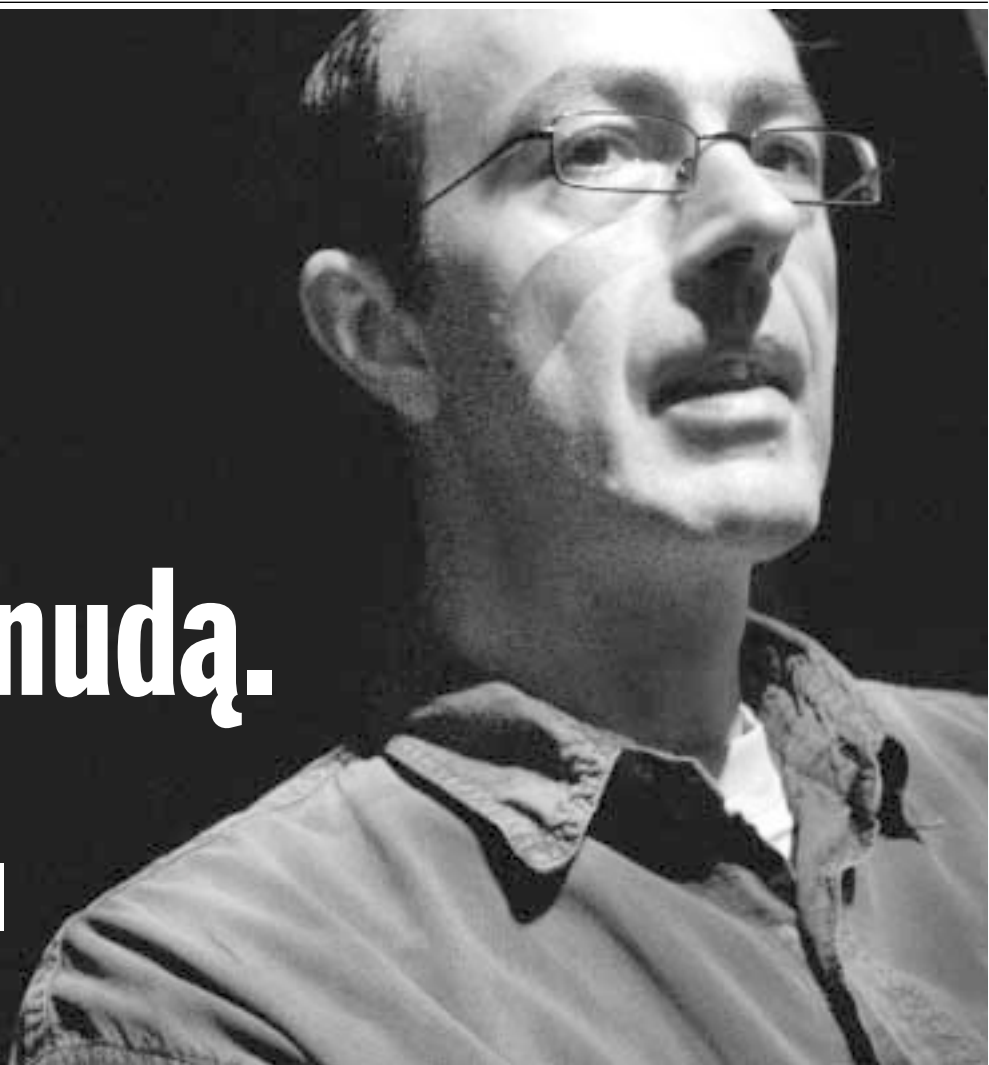


**kinoskop.pl**

Foto: Piotr Kaliński. Klub LOKATOR, maj 2007.

# Lęk przed nudą.

## Z Petrem Zelenką rozmawia Maciej Gil i Lokatorzy



Petr Zelenka: Dobry wieczór, będę mówił po czesku, bo tu jest tłumacz, a istnieje taka możliwość, że gdzieś tu jest moja nauczycielka polskiego, dlatego wolę mówić po czesku.

**Maciej Gil:** Przeprowadzimy na początek krótką sondę – kto widział „Guzikowców”? Kto widział „Rok diabła”? Kto widział „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie”? Kto widział „Samotnych”? Kto widział „Powers”? (dłoń podnosi jedna osoba) I dlatego „Powers” dzisiaj pokażemy. Film był do tej pory trzy razy pokazywany w Polsce, po dzisiejszym wieczorze, biorąc pod uwagę frekwencję, będzie pewnie pokazany trzynastej raz. Mam nadzieję, że ta frekwencja przełoży się na ilość pytań z sali, więc nie będę miał dużo do roboty. Ale rozpoczniemy pytaniem – co ci ostatnio przyniosło największą radość? To jest pytanie, które pada w filmie „Rok diabła”.

PZ: Największą radość przyniosła mi w ostatnich miesiącach praca w Teatrze Starym, tutaj w Krakowie. Wszystko najprawdopodobniej zakończy się premierą sztuki. To jest pierwszy raz kiedy pracuję z profesjonalnym teatrem, to spora zmiana w porównaniu z moimi doświadczeniami z teatrami „amatorskimi”. Najgorsze jest to, że w tym zespole jestem najgorszy. Jest tam Pan Peszek, pan Globisz, pan Trela. Ci aktorzy nie są zarozumiali, nie są za dumni. Kiedy w Czechach ktoś gra w Teatrze Narodowym i ma ponad 50 lat to jest bardzo dumny. Moja radość wypływa z tego, że aktorzy w Krakowie tacy nie są.

**MG:** W planie rozmowy było tak, że twoje polskie projekty będą na końcu, ale skoro już je trochę przedstawiłeś, to w takim razie opowiedz o czym będzie ta nowa sztuka?

PZ: Jest to o facecie, który zgwałcił 11-letniego chłopca, syna sąsiadów. I oczywiście ma wyrzuty sumienia, nie wie co z tym zrobić. Cały czas mu się wydaje, że powinien iść przyznać się na policję, albo do żony sąsiada. A w końcu przyznaje się w programie telewizyjnym, mylnie sądząc, że program jest emitowany na żywo. Wraca do domu oczekując katastrofy, ale okazuje się, że nic się nie dzieje. W drugiej części sztuki chodzi właśnie o ten program, który nie zostaje wy-

emitowany. Jego kolega postanawia nawet oskarżyć telewizję o brak emisji. Ludzie z telewizji już nie pamiętają, co on takiego mówił w tamtym programie i próbują umówić się na kolejny. Bohater wykorzystuje sytuację do maksimum – po pierwsze nikt się nie dowiadyje o tym, co zrobił, a po drugie zaczyna występować w telewizji i uświadamia sobie, że sprawia mu to satysfakcję i że to jest to, co zawsze chciał robić. Więc jest to jak „Zbrodnia i kara” bez kary. Głównego bohatera gra pan Globisz właśnie.

**MG:** Jeśli już jesteśmy przy „Zbrodni i karze” i Dostojewskim pomówmy o projekcie „Bracia Karamazow”, który mam nadzieję zrealizujesz także w Polsce.

PZ: „Bracia Karamazow” to projekt, który powinien być koprodukcją między Czechami i Polską. Ale muszę przyznać, że o ile z teatrem idzie całkiem nieźle, o tyle z tym projektem trochę gorzej. I trudno powiedzieć czy dojdzie do realizacji, pomimo tego, że powinniśmy zacząć kręcić już w lipcu. To jest sytuacja, która często się zdarza przy filmie, człowiek nigdy nie wie co się wydarzy. Ciągnie się to bardzo długo, już ponad dwa lata. Jeśli ktoś zadaje sobie pytanie dlaczego pracuję w teatrze, to jest właśnie odpowiedź, ponieważ w teatrze wszystko o czym się mówi, też się robi.

**MG:** Teraz cofnijmy się o parę lat. Jak to się stało, że scenarzysta stał się reżyserem filmowym, a później reżyser filmowy stał się reżyserem teatralnym.

PZ: Zaczęłam od studiowania scenopisarstwa i dramtopisarstwa. Pod nazwa dramtopisarza rozumiem się w Czechach raczej kogoś pokroju redaktora. Zaczęłam od tego, ale zdałam sobie szybko sprawę, że nie zdołam się utrzymać, zatem zacząłem tłumaczyć z angielskiego i na angielski, ale nie sprawiało mi to większej przyjemności. Potem nastaly inne czasy – połowa lat dziewięćdziesiątych – może Państwo tego już nie pamiętają, ale to był czas kiedy można było praktycznie wszystko. Ja ten moment wykorzystałem i nakręciłem pierwszy film jako reżyser. Specyficzne było wtedy to, że nikt specjalnie nie oczekiwał wiele, ale też nikt nie bał się robić filmów. A później kontynuowałem to co zacząłem, bo po prostu okazało się, że to jest możliwe. A z teatrem to było tak – w „Samotnych”, „zbożerka”

który przebiera się za instalatora gra Ivan Trojan – i ten aktor grał także w jednym z praskich teatrów i ten teatr zaproponował mi, że bym coś dla nich napisał. Ivan załatwił mi spotkanie z dyrektorem Mirkiem Chrobotem który zaproponował mi napisanie sztuki, a ja w zamian zaangażowałem Trojana do filmu „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie”. Po tym filmie stał się bardzo znanym aktorem, to jest mój największy sukces. Ostatnio grał w filmie węgierskiego reżysera Beli Tarra, a ostatnio znajomy dzwonił do mnie z Cannes, że Trojan jako odtwórca głównej roli promuje ten właśnie film Tarra.

**MG:** W tym momencie zapytam o coś, co zawsze mnie cieszy kiedy oglądam Twoje filmy. Są one podpisane „film Petra Zelenki i jego przyjaciół”. Chyba nie widziałem żadnego innego filmu tak podpisanego. Chciałbym zapytać czy to jest tak, że zapraszasz swoich przyjaciół do kręcenia filmu, czy po zrobieniu filmu zostajecie przyjaciółmi? W którą stronę to działa?

PZ: W przypadku ostatniego filmu chyba tak nie było? A jeśli tak, to ten napis znalazł się tam najpewniej przypadkowo. Jeśli chodzi o poprzednie filmy tak było, ale przy ostatnim się pokłóciliśmy i rozstaliśmy się w złych nastrojach.

**MG:** Może napisy zostały zrobione przed filmem?

PZ: Być może to było w umowie i producent musiał to dać... Mogę go zaskarżyć? Rozstaliśmy się z producentem, z którym byliśmy zaprzyjaźnieni i od tej pory już nie jesteśmy. To jest dla mnie smutne, bo zawsze myślałem, że film nie jest wart tego, żeby zepsuć przyjaźń, a właśnie to niedawno się stało. Można powiedzieć, że pogardzałem tymi, którzy stawiali film ponad relacje z ludźmi. Pogardzam np. Kusturicą, który takie rzeczy robi, a teraz przytrafiło się i mnie.

**MG:** Ale dotyczy to tylko producenta? Cała reszta ekipy pozostaje przyjaciółmi? Przecież ten, co daje pieniądze jest najmniej ważny...

PZ: Właśnie chodzi o to, że producent nie daje pieniędzy. Czy Państwo wiedzą co robią producenci? Rola producenta polega na tym, żeby z pieniędzy które sobie załatwicie nie wzięli zbyt wiele dla siebie. Dobry



producent weźmie dla siebie tylko niewielką część. Zły producent jest zachłanny i może was pozbawić nawet 20% budżetu. Tak to wygląda z producentami w Europie. Ten mój ostatni producent był z tych złych.

**MG:** Jeśli już jesteśmy przy pieniądzach. Myślę, że tym, co sprawia, że Twoje filmy tak bardzo się podobają w Czechach w Polsce i wszędzie indziej, jest między innymi to, że są one zupełnie niezależne od rzeczywistości politycznej, ekonomicznej. Czy to znaczy, że to cię w ogóle nie interesuje? Czy to przemyślany sposób na kręcenie filmów?

**PZ:** To jest spontaniczne, takie jest moje naturalne nastawienie. Chyba inaczej bym nie potrafił. Ale kiedy oglądam filmy polityczne zaangażowane uważam, że wiele z nich jest świetnych, na przykład ten niemiecki film „Życie na podsluchu”.

**MG:** Wpisujesz się tym w tradycję czeskiego kina. Najlepsze filmy, które „przetrwały” np. z lat 60-ych, to co nadal jest świeże i żywotne, na przykład filmy opowiadające o wojnie, samą wojnę pozostawiają daleko w tle, najważniejsze jest to, co się dzieje między głównymi bohaterami. Pytanie – jaki jest Twój stosunek do tradycji czeskiego kina? Bo na przykład kiedy ostatnio oglądałem „Guzikowców” przypominała mi się scena z „Pociągów pod specjalnym nadzorem”.

**PZ:** Zażartowałem sobie po prostu z Jirziego Menzla, któremu zaproponowałem rolę w „Guzikowcach”. Ale nie przyjął propozycji, więc przynajmniej wspomnieliśmy o nim w tym filmie, pokazując, że jego filmy są puszczone w zakładach pobierania spermy.

**MG:** Skoro już jesteśmy przy „tych” tematach, porozmawiamy o miłości, także fizycznej, w Twoich filmach. Bo z jednej strony miłość jest zwykle jakąś siłą napędową bohaterów, z drugiej jest to wszystko jakoś wykoślawione. A jeżeli chodzi o seks to np. bohaterowie „Guzikowców” musieli jechać w samochodzie z odpowiednią przędkością, albo jak w „Opowieściach o zwyrodniałym szaleństwie” gdzie jedna z par mogła się kochać tylko wtedy, kiedy ktoś ich obserwował. To jak to jest z tą miłością – czy to siła napędowa ludzkości, czy wręcz przeciwnie – uwsteczniająca?

**PZ:** Ja bym nie traktował tego ze zbytnią powagą. Te epizody to elementy charakteryzujące. To się bardzo podobało w „Guzikowcach”, że mimo ich „zbochen” udało nam się pokazać wyjątkowość tych ludzi. Jedna z postaci mówi, że „lepiej być swoim i innym, niż normalnym i nudnym”. Powiedziałbym, że chodzi o lęk przed nudą.

**MG:** Świetna metoda charakteryzowania postaci... Powtarzalnych motywów w Twoich filmach jest sporo i pewnie masz świadomość, że często sam siebie cytujesz. Osobiście lubię reżyserów, którzy w pewnym sensie kręcą ciągle ten sam film, jak Woody Allen na przykład. A propos czy nadal jest Twoim wzorem?

**PZ:** Tak, wciąż go podziwiam. Sporo wytrzymał, dziadzius.

**MG:** I wrócił do formy, miejmy nadzieję. Ale są też takie rzeczy, które pojawiają się w prawie każdym Twoim filmie, na przykład Japończycy. Już Cię kiedyś o to pytałem, w kontekście tego dokąd wysłałeś bohatera „Opowieści o zwyrodniałym szaleństwie” – wygląda na to, że na Kubę – szkoda, że nie do Japonii, bo żadnego Japończyka nie było w tym filmie, podczas gdy we wszystkich pozostałych byli. Ostatnio nowym elementem stała się Kuba właśnie. Czy to są jakieś Twoje fascynacje?

**PZ:** Zawsze staram się mieć w filmach jakichś obco-krajowców, w tym który teraz kręcę będzie na przykład Hindus. Taki facet o którym wszyscy sądzą, że jest właścicielem firmy Mittal, ale nie jest. Staram się mieć w filmie motyw obco-krajowca, podoba mi się, kiedy mieszają się różne języki – polski, czeski, angielski.

**MG:** W Twoich filmach często pojawiają się także zjawiska paranormalne i rzeźbym zachowania niestandardowe – jak na przykład sposób na odzyskanie kobiety w postaci odcięcia jej włosów i gotowanie ich w mleku, wywoływanie duchów, voo-doo, autoeksplozje i tak dalej. Skąd to się bierze?

**PZ:** Myślę, że tak ten świat jest urządony, że z jednej strony rządzi się pewną racjonalnością, a z drugiej czymś nieracjonalnym. Im bardziej będziemy się chcieli do tego zbliżyć, im bardziej będziemy to pokazywać w filmach – tym lepiej. Póki co najbliższe tych zjawisk są fizycy.

**MG:** A właśnie – z tego co wiem, kiedyś wybierałeś pomiędzy scenopisarstwem, a matematyką czy fizyką. Czy to dalej jakoś Cię interesuje i czy ma jakiś wpływ na pisanie filmów?

**PZ:** Bardzo lubię precyzyjną kompozycję w swoich sztukach czy scenariuszach, często stosuję zabieg repetycji – powtórzenia – zwykle mam w swoich filmach wszystko dokładnie obliczone. Ale, że to wszystko i tak nie działa to jest inna sprawa. Różnica między matematyką, a fizyką jest taka, że matematyka definiuje samą siebie, natomiast fizyka musi cały czas brać pod uwagę otaczający nas świat. Dlatego matematyka mnie zawsze interesowała, ponieważ to jest najdoskonalsza z nauk.

**MG:** Jeszcze jedna bardzo ważna sprawa – muzyka. Byłeś muzykiem, miałeś dwa zespoły, pisałeś teksty i grałeś na basie. Ale też zrobiłeś trzy filmy o muzyce – jak dokonałeś wyboru zespołów?

**PZ:** Kierowałem się instynktem, kiedy odkryłem pierwszą ważną dla mnie kapelę rockową, to tak jakbym odkrył całkiem nowy świat. Nohavicę poznałem kiedy miałem dwadzieścia lat i to było całkiem coś innego. A zespół Cechomor to byli po prostu znajomi, dopiero później pojawił się pomysł, żeby nakręcić o nich film.

**Pytanie z sali: Jak zdobyć pieniądze na pierwszy film?**

**PZ:** Przecież już powiedziałem – powinniście Państwo zacząć w połowie lat dziewięćdziesiątych. Wtedy pieniądze miała Czeska Telewizja i to ona opłacała większość filmów. Wcale nie jest tak trudno uzyskać pieniądze, najważniejsza jest chęć zrobienia filmu. W Czechach obecnie praktycznie nikt już filmów nie kręci, mam na myśli młodych ludzi oczywiście. My jesteśmy właściwie nadal tą młodą generacją, po nas już się nikt nie pojawił. Najpewniej uznali, że jest za trudno. Przyznaję im trochę racji – męczyć się z filmem dwa lata... W naszym przypadku kręcenie związane było z jakimś kompleksem – po prostu zrobienie filmu fabularnego było sposobem zwrócenia na siebie uwagi, co też się niespecjalnie udawało. Ja się bardzo cieszę, że nie widzieli w tych filmach typowo czeskich kompleksów, których jest tam całe mnóstwo. Ponieważ my je tam często dostrzegamy – kompleksy swoich kolegów, z powodu których te filmy właściwie powstały.

**Pytanie z sali: Czy czytasz recenzje swoich filmów? Czy nie denerwuje Cię, kiedy ktoś dorabia do nich ideologię?**

**PZ:** Czytam recenzje i nie przeszkadza mi to. Ale należy rozróżnić dwa pojęcia – recenzje i krytyki – to są dwie różne sprawy. Ugruntowana krytyka dzieł artystycznych w Czechach praktycznie nie istnieje. Jest to spowodowane nie tylko tym, że w mediach nie ma przestrzeni dla takich treści, ale też tym, jak są „skonstruowani” sami dziennikarze. Z tego powodu przestaliśmy ich traktować poważnie. Chociaż to oczywiście boli, kiedy napiszą, że jestem całkowitym kretynem. Posługujemy się tymi dziennikarzami do promowania filmów, my im mówimy, co mają napisać oni to piszą i potem na filmy przychodzi więcej ludzi. Co nie oznacza, żeby byli prostytutkami. Mamy wstępny materiał filmowy, wysyłamy go do dziennikarzy i ten, któremu się najbardziej spodoba robi za rzeczownika prasowego projektu, a ten, któremu się nie podoba robi za rzeczownika prasowego innego filmu. I tak to wygląda.

**Pytanie z sali: Chciałbym zapytać o „Rok diabła”. W realizacji brali udział amatorzy – zatem czy była wódka i zabawa, czy też ostro uczył Pan ich grania? Jak dużo było scenariusza, a jak dużo improwizacji na planie?**

**PZ:** Nie było tam dużo improwizacji, ale ze względu na wykonawców, którzy po prostu niektórych scen nie byli w stanie zagrać, wykreślałem je. Tam były trzy osobowości – Nohavica – klasyczna gwiazda rocka – on wie, że jest dobry, sławny i ceni siebie. A przy tym jest faktycznie dobry. Byli też ludzie z Eechomora, całkiem sympatyczni koledzy, ale podczas kręcenia filmu brali na siebie tyle pracy, że często na planie przysypiali. Na przykład kręciliśmy scenę, ustawialiśmy oświetlenie, a oni się pytali czy zdążą w tym czasie zrobić konferencję prasową związaną z ich nową płytą.

A z kolei Karel Plíhal jest psychicznie trochę nie w porządku, choć jest przy tym wspaniałym człowiekiem. Niestety cierpi na fobię związaną z obecnością dużej ilości ludzi. Kiedy kręcimy film to na planie jest co najmniej czterdzieści osób. Więc w związku z przypadłością Karela, który obawia się większej liczby ludzi w pomieszczeniu niż pięć, który na własnych koncertach ucieka do szatni żeby schować się przed widzami – istniało ogromne ryzyko czy nam nie ucieknie z tego kręcenia. Ale na szczęście stało się inaczej. Karelowi bardzo się spodobała pasywna rola aktora. Odpowiadało mu, że mówiłem mu, co ma zrobić, że w trakcie produkcji miał dokładne codzienne wskazówki, o której ma wstać i tak dalej. Doszło do takiej zmiany w jego osobowości, że podjął próbę pojawienia się na czeskich Lwach – to są takie nasze coroczne nagrody filmowe. Przyznaje się je w takiej ogromnej sali na dwa tysiące osób. Karol się tam faktycznie pojawił, zbliżył się nawet do drzwi, ale w pewnym momencie stwierdził, że nie jest w stanie wejść do środka i przeproszał mnie, że się przeliczył. Ale to był z jego strony piękny ludzki gest, który zrobił na mnie duże wrażenie. Ponieważ on niczego nie udawał, on się tych ludzi autentycznie bał.

To byli ludzie pracujący nad rokiem diabła.

**Pytanie z sali: Jakie są czeskie kompleksy?**

**PZ:** Stały kompleks to ten, że poświęca się nam mało uwagi. Z mojej obserwacji wynika, że to jest główny czeski kompleks.

**Pytanie z sali: Kilka lat temu miałem okazję rozmawiać z Davidem Ondrickiem i zapytałem jaki polski film pamięta, jaki zrobił na nim wrażenie? Odpowiedział mi, że „Cztery pancerni i pies”. Jak to jest u Pana? My potrafimy wymienić kilkanaście czeskich filmów, które zrobiły na nas wrażenie. Czesi często mają problem z tym jednym, dwoma tytułami.**

**PZ:** Ostatnio w związku z pracą i innymi okolicznościami oglądałem dużo polskich filmów. Najbardziej podobało mi się to nowe „Wesele”. Byłem też zachwycony „Człowiekiem z żelaza”. Mogę wymienić więcej polskich filmów.

**MG:** Poruszyliśmy kwestie kontekstów, stereotypów. Jesteś już Polsce prawie miesiąc, czy pokusiłbyś się o próbę porównania Polaków i Czechów?

**PZ:** Nie jestem w Polsce, jestem w Krakowie. Nie znam innych miast. Wydaje mi się, że Kraków jest wyjątkowy pod tym względem, że tutaj ludzie dotrzymują słowa i jest to chyba jakaś spuścizna Austro-Węgiek. Wydaje mi się, że ludzie tutaj korzystają z życia – co Polacy zwykli mawiać o Czechach. Kraków jest taką czeską wyspą w Polsce. Wydaje mi się, że Polacy mają bardzo szerokie korzenie – od Niemców, aż po Rosjan – podczas gdy Czesi bardzo niechętnie mieszają się genetycznie. Kiedy spotykają się Czesi, którzy się nie znają, nie rozmawiają o tym skąd pochodzą, ponieważ byłoby to nudne. Ale nie chciałbym uogólniać niczego na temat Polaków, choć z pewnością dużo bardziej interesujecie się innymi narodami niż my. Ja się tego oczywiście wstydzę i próbuję to naprawić choćby tak, że się interesuję Polską, Polakami. Choć muszę szczerze przyznać, że ten impuls przyszedł z Polski.

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!



**Pytanie z sali: Jak to się stało, że podjął Pan współpracę z Teatrem Starym i dlaczego się Pan na nią zdecydował?**

PZ: To było bardzo proste. Dramaturg Teatru Starego, który już tam nie pracuje, Grzegorz, zobaczył jedną z moich sztuk na Słowacji. Zaproponował Teatrowi Staremu abym dla nich napisał i wyreżyserował sztukę. Dyrektor wyraził zgodę, zaprosili mnie tutaj i tak to już trwa od półtora roku. Zabrali mnie do Alchemii, ponieważ usłyszeli, że lubię tego typu miejsca. I tam oczywiście od razu się porozumieliśmy.

**Pytanie z sali: W jednym z wywiadów przyznał Pan, że jest cynikiem. Czy ten motyw zbrodni bez kary w Pana sztuce jest objawem cynizmu właśnie?**

PZ: To będzie bardzo tkliwa i czuła sztuka. Pan Globisz często się mnie pyta – „Czy to nie będzie przesadą, że robimy sobie żarty z gwałtu?” – na co odpowiadam – „Ależ skąd, my będziemy grać z pełną powagą. Śmiać się będą widzowie i to będzie ich błąd, że się śmieją.” Ale jeszcze go w pełni nie przekonałem.

**MG: Czujesz się spadkobiercą tradycji czeskiego surrealizmu?**

PZ: Nie, surrealizm mnie absolutnie nie dotyczy.

**MG: To spadkobiercą jakiej tradycji się czujesz?**

PZ: Najlepiej czuję się oglądając angielskie komedie. Najbardziej lubię Monty Pythona, ich filmy są mi bliższe niż np. Very Chytilovej. Paradoks polega na tym, że czerpię z angielskiego czy amerykańskiego filmowego poczucia humoru, a o dziwo Amerykanie, czy Brytyjczycy nieszczególnie przepadają za moimi filmami.

**Pytanie z sali: Jaki jest Pana stosunek do kina czeskiego? Co się panu w nim podoba, a co nie?**

PZ: Wam się podobają czeskie filmy, ale mnie nie. Ja się generalnie rozstaję z filmem, więc nie mogę go polecać jako medium. Myślę, że teraz najważniejsza jest literatura i teatr, a w filmie nic się obecnie nie dzieje. A jeśli się dzieje to myślę, że w Azji. Ale na pewno nie w czeskim filmie.

**Pytanie z sali: Czy to znaczy, że nie będzie Pan kręcił filmów?**

PZ: Mam jeszcze taki jeden projekt. To będzie film o naprawdę, ale to naprawdę strasznie starym reżyserze. Także o producencie, postaci inspirowanej prawdziwą osobą, który otrzymuje dotacje na nakręcenie filmu na podstawie scenariusza martwego reżysera. Scenariusz jest z lat sześćdziesiątych. Producent udaje, że reżyser nadal żyje. Dzięki temu dają mu na to pieniądze. Problem polega na tym, że reżyser, jak się okazuje, żyje, ma 94 lata i mieszka ze swoją 44-letnią partnerką. I ta partnerka postanawia wykorzystać okazję do come-backu reżysera. I on faktycznie się odrobinę ożywi. Udaje im się zmontować sztab bardzo starych ludzi, z którymi on współpracował w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Razem kręcą film. Oczywiście na koniec producent zaprzyjaźnia z się reżyserem i kiedy ten umiera producentowi jest go żal. Co więcej - ten stary człowiek odchodzi i powraca jako

pingwin – to są takie elementy nadnaturalne. Chcę żeby producentem tego filmu został David Ondricek, którego od dawna namawiam, żeby przestał kręcić filmy, a zaczął je produkować i wydaje się, że jest już bliski decyzji, ponieważ jego ostatni film niespecjalnie się udał. Zobaczymy, jako producent myślę, że by się sprawdził. I zachodzi niebezpieczeństwo, że będzie chciał nakręcić jakiś film w Polsce.

**MG: Proszę bardzo, teraz w Polsce jest bardzo dużo pieniędzy dla młodych zdolnych reżyserów i producentów, przygarniemy. A jak to się stało, że David wyreżyserował „Samotnych”, a nie ty?**

PZ: Bo mnie strasznie zmęczyli „Guzikowcy” i chciałem zobaczyć jak ktoś inny sobie poradzi.

**MG: Nie żałowałeś tej decyzji? Pewnie bywałeś na planie?**

PZ: Nie, nie żałowałem. Byłem obecny przy kręceniu zdjęć. Zrobiłbym to pewnie inaczej, ale nie żałowałem.

**MG: W tym samym roku powstał film „Powers”, który jest w klimacie podobny do „Samotnych”. Miałem nawet takie wrażenie, że to może jakieś ścinki ze scenariusza. Czy tak było?**

PZ: O ile wiem to nie.

**Pytanie z sali: Mam pytanie o kondycję kina światowego? Jakie są Pana diagnozy i prognozy?**

PZ: Trudno powiedzieć, niemniej kinematografia jeśli już się w czymś, w ciągu ostatnich dziesięciu lat, udoskonaliła, to chyba tylko pod względem dystrybucji. Muszę przyznać, że postęp w dystrybucji filmów, zwłaszcza amerykańskich, jest fenomenalny. Ale pod względem sensu i treści tych filmów to właściwie nie ma żadnego rozwoju. Jeśli chodzi o język filmowy to także od lat osiemdziesiątych nie doszło do żadnych zmian. Dogma 95 to też właściwie nic nowego. Kino to po prostu trochę stare medium.

**Pytanie z sali: Chciałem zapytać o film „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie”. Wiem, że tytuł jest zaczerpnięty od Charles’a Bukowskiego. Czy po prostu pasował ci jako tytuł do filmu? Czy też istnieją paralele pomiędzy Henrym Chinaskim, literackim alter ego Bukowskiego, a twoim bohaterem?**

PZ: To oczywiście nie był przypadek, że ukradłem tytuł Bukowskiemu. Wcześniej czytałem jego książki bardzo dokładnie przez 10 lat. Faktycznie utożsamiałem się głęboko z jego bohaterem. Wykorzystałem z Bukowskiego znacznie więcej niż sam tytuł, ale dokonałem zasadniczej zmiany – usunąłem wulgaryzmy. Dla tego ludzie nie byli w stanie tego rozpoznać. Ciekawe jest to, że większość ludzi kojarzy Bukowskiego z wulgarnością, a dla mnie to bardzo delikatny pisarz. Myślę, że nawet jeśli coś ukradniemy i zapakujemy to w nowe opakowanie to przestaje to być kradzież. W samym tytule swojego filmu oddałem hold Panu Bukowskiemu. Kiedy w Czechach ukazała się książka „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie” mój agent powiedział – „wykorzystali Twój tytuł, może ich zaskarżyć?” – na co odpowiedziałem, że „lepiej tego nie ruszać”...

**MG: Chciałem zapytać o parę motywów z twoich filmów, które są niezwykle rozpoznawalne. Na przykład motyw tytułowych „guzikowców”, body-shot, ten konflikt czy artysta powinien nosić bokserki czy slipy i w których jest bardziej artystycznie płodny, czy alkoholiczny kopiec Nohavicy.**

PZ: Inspiracje są różne, ale na przykład „guzikowcy” powstał w wyniku pewnego mojego błędnego przekładu z Vonneguta. Bokserki i slipy – wydaje mi się, że to po prostu wymyśliłem, ale ludzie chyba na co dzień rozmawiają o takich rzeczach. Alkoholiczny kopiec Nohavicy to jest jego oryginalny wyczyn. A o body-shocie opowiadała mi jakaś dziewczyna z Holandii.

**Pytanie z sali: Chciałbym zapytać o postać z Twojej sztuki. Czy w jakimś stopniu inspirowałeś się twórczością Todda Solondza?**

PZ: Są tam inspiracje Solondzem. Przepraszam, muszę sprawdzić esemesa. Kiedyś w teatrze dostałem wiadomość i mój znajomy powiedział – „teraz już rozumiem, ty kupujesz stare telefony, czytasz cudze wiadomości i tak podkradasz te wszystkie dziwne historie.” Ale wracając do pytania, kolejna inspiracja pochodzi od Woodiego Allena i jego „Zbrodni i wykroczeń”. Inne to na przykład amerykański film „Gracz” z lat siedemdziesiątych. Generalnie są to rzeczy z motywami zbrodni. Praca w teatrze polega także na tym, że sugeruję jakie filmy powinni obejrzeć aktorzy, by później zaproponować swoje własne pomysły.

**Pytanie z sali: Mówił Pan, że kino się skończyło, a wszystkie inspiracje dla sztuki teatralnej czerpie Pan z kina. Jak to jest?**

PZ: No właśnie nie z filmu, „Gracz” to przede wszystkim była książka, która została sfilmowana. Więc częściowo z filmu, częściowo z literatury.

**Pytanie z sali: Jaka jest Twoja ulubiona postać z własnego filmu?**

PZ: Najbardziej lubię te postaci które są realnymi ludźmi.

**Pytanie z sali: A gdybyś musiał wybrać jedną.**

PZ: Holendra z „Roku diabła”, dokumentalistę. W rzeczywistości jest to holenderski dystrybutor filmowy, który pali dużo trawy. Mieszkał u mnie w domu, kiedy kręciliśmy film. Tego bym sobie wybrał, tego chciałbym mieć w domu.

**Pytanie z sali: Dostrzegłeś w Polsce jakieś tematy, historie godne nakręcenia filmu, napisania scenariusza?**

PZ: W teatrze ludzie opowiadają ciekawe rzeczy. Dalo by się coś wybrać, ale nic specyficznie polskiego nie ma. Ale oczywiście wmontowałem do swojej sztuki trochę papieża. Polacy to są właściwie tacy Czesi plus papież.

**MG: Dziękujemy za przybycie i za spotkanie. Trzymamy kciuki za twoje Polskie projekty.**

PZ: Mam nadzieję, że od końca września będzie można zobaczyć tę sztukę w Krakowie na scenie kameralnej Teatru Starego.

**redakcja i opracowanie tekstu Paweł Ścibisz**

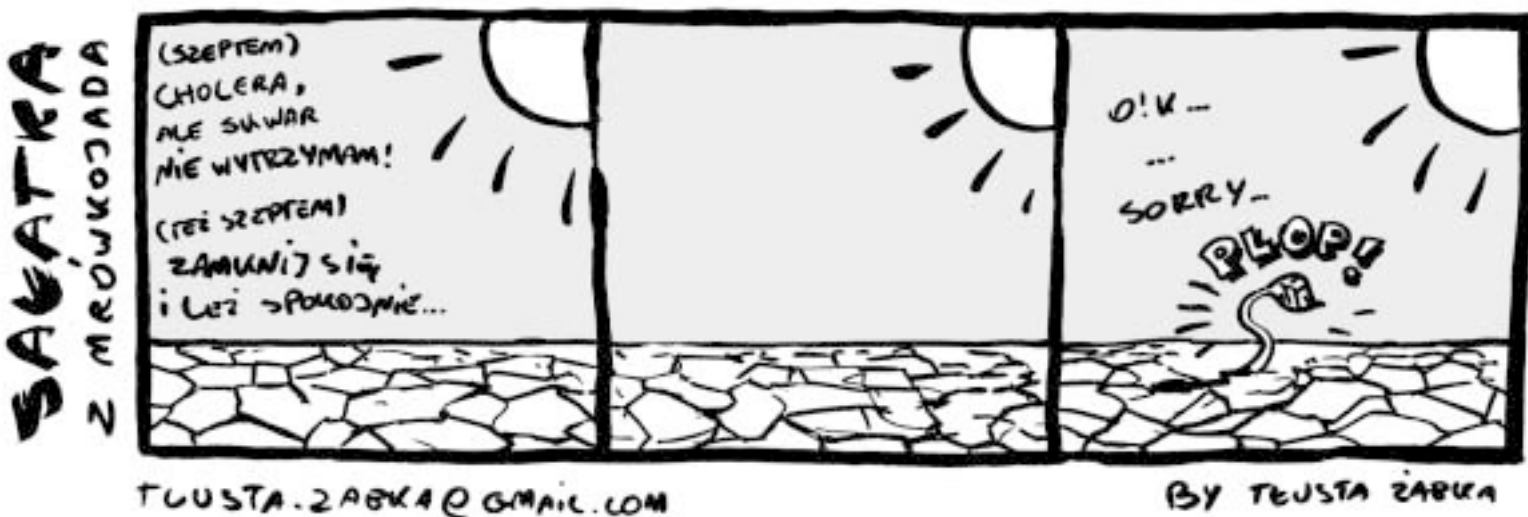




Foto: Kamila Sosnowska. Klub LOKATOR, maj 2007.



# Ideologicznie nietknięty.

## Z Petrem Markiem, czeskim reżyserem filmów niezależnych rozmawia Iwona Łyko

**Iwona Łyko: Kiedy zacząłeś kręcić filmy?**

PM.: W 1989 roku, kiedy założyłem z przyjaciółmi UNARCLUB, czyli Stowarzyszenie Ludzi Ideologicznie Nietkniętych. Mieliśmy wówczas 18 lat. UNARCLUB miał być pierwotnie ruchem oporu. Ponieważ wszystko odbyło się we wrześniu, nasza opozycja nie zdążyła się rozwinąć. Jednak impuls twórczy pozostał.

**I.Ł.: Ile zrealizowaliście filmów?**

PM.: Do 2000 roku pięćdziesiąt, choć dla wielu taka ilość wydaje się nieprawdopodobna.

**I.Ł.: Jesteś zaliczany do reżyserów eksperymentalnych. Co według Ciebie kryje się pod sformulowaniem eksperyment filmowy?**

PM.: Dla mnie eksperyment sprowadza się do tego, że nigdy nie wiem, jakie będzie zakończenie filmu. Chociaż znam zarys całości, zostawiam wolne miejsce dla przypadku oraz błędów, które mogą wnieść do filmu coś bardzo cennego.

**I.Ł.: Jaki jest zatem Twój stosunek do poglądów Hitchcocka, zgodnie z którymi reżyser nie powinien poddawać się temu, co się dzieje przed kamerą?**

PM.: Każdy pracuje według swojej metody. Nie potrafiłbym nakręcić klasycznego filmu fabularnego, w którym wszystko wynika ze scenariusza. Na przykład w filmie „Láska shora”, w pewnym momencie pojawia się plama, ponieważ nie wyczyściłem obiektywu kamery. Zostawiłem ją w filmie, aby pokazać, że relacje między bohaterami się psują.

**I.Ł.: Na czym polega Twoja praca z aktorami?**

PM.: Aktorzy są dla mnie przede wszystkim źródłem inspiracji. Interesuje mnie potencjał, jaki każdy z nich wnosi do filmu. Nieuchronną część realizacji stanowi

manipulacja, kiedy aktorzy nie zdają sobie dokładnie sprawy z tego, co się dzieje na planie.

**I.Ł.: Kluczowe zagadnienie związane z Twoją twórczością to problem filmowego autora i autora w filmie. Możesz przybliżyć tę kwestię?**

PM.: W filmie „Láska shora” autor jest zarówno jedną z postaci, jak narratorem. Dla mnie autor znajduje się „głębiej” niż historia, którą opowiada. Jestem autorem autora, który opowiada tę historię.

**I.Ł.: Krytycy zwracają uwagę, że Twoje filmy są na pograniczu fikcji i dokumentu. Która z tych form jest lepsza dla eksperymentu?**

PM.: Wszystkie formy są dobre do eksperymentowania.

**I.Ł.: Oprócz filmu jest Ci także bliski teatr, gdzie pracujesz od wielu lat. Czy wykorzystujesz swoje doświadczenia teatralne w filmie?**

PM.: Tak. W filmie „Nebyť dnešní” postanowiłem pokazać teatr z Ostrawy XXXCHSOSOXXX, który składa się z trójki aktorów. Interesowało mnie, jakich kształtów nabierze ich improwizacja w przestrzeni filmowej.

**I.Ł.: Mówi się, że jesteś intelektualnym błaznem, który wykorzystuje elementy gry z widzem oraz różnymi gatunkami filmu, stosuje parodię i rozśmiesza, aby uniknąć w swoich filmach stereotypów. Jakie to stereotypy?**

PM.: Nie wiem, czy chcę unikać stereotypów, ale zgadzam się z określeniem intelektualna błazenada. Większość filmów, które cenię i często oglądam można określić w ten sposób, na przykład dzieła Jaccque’a Tati oraz Godarda.

**I.Ł.: Jesteś asystentem Jana Nimca na wydziale reżyserii w szkole filmowej FAMU, byłeś także drugim operatorem przy jego filmie „Nocne rozmowy z matką” (2000). Jak przebiega Twoja współpraca ze sławnym reżyserem?**

PM.: Bardzo dobrze, ponieważ mamy podobny system pracy. Odpowiada mi sposób jego podejścia do materii filmowej. Na początku jest zawsze jakaś intencja, potem jej interpretacja, w końcu powstaje efekt końcowy, który tworzy całkowicie odmienną, zaskakującą jakość. W jednym z filmów Nimca nagle zamiast głównej bohaterki pojawia się czeska piosenkarka Marta Kubišová. Widz niezwykle szybko oswaja się z faktem, że obraz nie odnosi się do tego, co powinien oznaczać. Między obrazem, a jego znaczeniem powstaje szczelina i w ten sposób rodzi się poezja.

**I.Ł.: Jak oceniasz współczesne czeskie filmy?**

PM.: Trudno powiedzieć, ponieważ powstają filmy zarówno dobre, jak i złe. Można natomiast zaobserwować, że przeważa w nich literackość oraz teatralność. Ostatnio do najpopularniejszych reżyserów w Czechach należy Jan Hřebejk, którego filmowa twórczość jest dość teatralna. Krytycy podkreślają również, że niebezpieczeństwo jego filmów wynika stąd, że pojawia się w nich kult małego człowieka. Ponieważ Czesi z wyjątkiem Jana Hůsa oraz Jana Palacha, właściwie nie mają bohaterów narodowych, wspieranie małości jest niebezpieczne społecznie. Przed dwoma tygodniami widziałem świetny nowy czeski film, który nosi tytuł „Prawidla kłamstwa”. Jednak przede wszystkim należy zwrócić uwagę na czeski dokument, który ostatnio „tętni życiem”.

**I.Ł.: Jakie są Twoje dalsze plany zawodowe?**

PM.: Wspólnie z grupą aktorów z Ostrawy zamierzam nakręcić film o spotkaniu adoptowanych. Podczas realizacji będziemy kierować się zasadą improwizacji.

**I.Ł.: Jakie są Twoje dalsze plany zawodowe?**

PM.: Wspólnie z grupą aktorów z Ostrawy zamierzam nakręcić film o spotkaniu adoptowanych. Podczas realizacji będziemy kierować się zasadą improwizacji.

**Wywiad przeprowadziła Iwona Łyko, współpraca Kamila Szymańska, tłumaczenie z języka czeskiego Igor Kędziński.**

# \*mrowkòmm

xiqi

Kraków, lipiec-sierpień 2007, Numer 10-11 (Rok 5) NUMER PRAWDOPODOBNIJE OSTATNI Kłup LOKATOR M8324m

grafika: P10, 2006. It`s a nice fan (US version), linoryt 5x7

✂ взвешивание лохот взвешивание позже



\*Mina Hlyes&Epsilon, Francis Zlak, Bob Boshnik, Petr Boshnik, Petr Selenka, Denis Mc Eloy, Michal Kotz...